

Remiezowicz Eryk

Na tropach wyspy Hancocka

Z „Fahrenheit”

Przygoda wyszła do mnie z książek. Zawsze pierwszy tydzień urlopu spędzałem, przesypiając dzień, po to, by nocą ciemną czytać. Każdy powinien tego spróbować – jest cicho i spokojnie, lampka na biurku przyjemnie ogrzewa głowę, a słuchawki z głośną muzyką oddzielają od reszty świata. W takich warunkach czytanie staje się bardziej pasjonujące od lądowania na Marsie. Wprawdzie kobieta mego życia uważała to za wariactwo, ale wiele moich poczynań zyskiwało taką opinię. Miałem chyba jednak jakieś zalety, bo nadal żyliśmy razem.

Pewnej nocy wyjąłem z piętrzącej się na biurku sterty stary, jeszcze dwudziestowieczny, napisany po japońsku zeszytek z opisem strat poniesionych przez marynarkę wojenną Cesarstwa w drugiej wojnie światowej. Zapuściłem program tłumaczący i zacząłem chłonać. Ciekawość została nagrodzona – pośród kwiecistych relacji znalazłem niepokojącą notatkę, ukrytą, zdaje się przed przełożonymi:

6 XII 1941 – Niewielki konwój płynący na Wake znika w niezrozumiałych okolicznościach w okolicy wyspy Hancocka. Nie znamy ich losu, ale pewni jesteśmy, że zginęli bohatercko. Cześć cesarzowi!

"Niewielki konwój" składał się z sześciu transportowców i dwóch niszczycieli eskorty. Były to prawdopodobnie najcięższe straty, jakie Japończycy ponieśli w tej części kampanii. Dziwne, że nigdy o tym nie czytałem. O wyspie Hancocka też nigdy wcześniej nie słyszałem.

Uwielbiam takie małe, tajemnicze fragmenciki naszej historii. Od razu poczułem, że resztę urlopu spędzę na Pacyfiku. Tylko jak przekonać moją lubą, która zupełnie nie podziela mojej pasji do grzebania się w grzeszkach naszych przaszczurów? Postanowiłem być sprytny – nie mieliśmy jeszcze zaplanowanych wakacji, więc miałem pewne, choć niewielkie szanse.

– Co tam u ciebie porankiem, kochanie? – spytałem radośnie.

– Byłoby lepiej, gdybyś mnie o świcie nie walnął łokciem w żołądek – zostałem poinformowany.

Nic nie pamiętałem, bąknąłem więc niejasno.

– Spałeś oczywiście smacznie do rana, a ja walczyłam z nudnościami – uzupełniła. – Próbowałam ci oddać i teraz boli mnie ręka. Wszystko przez ciebie.

– Przepraszam...

– Zawsze przepraszasz i zawsze jest to samo – przerwała mi.

Zacząłem liczyć w myślach. Ostatnia kłótnia była pół roku temu, kwiaty, wspólne wyjścia i zakupy też zaniedbałem. Wyzwałem się w myślach od ostatnich idiotów. Czekano na mnie teraz ciężkie przygotowanie artyleryjskie ze strony mojej lubej, po którym miałem bezzwłocznie przejść do długotrwałego oblężenia, gdzie musiałbym wykazać się wybitnymi zdolnościami taktycznymi i talentem do odpierania niespodziewanych, acz gwałtownych wycieczek. Postanowiłem upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i ruszyłem do kontrnatarcia:

– Kochanie, może pojedziemy razem nad Pacyfik? – spytałem, starając się wyglądać możliwie niewinnie i sympatycznie. – Odpoczniemy, poopalamy się, popływamy. Zobaczysz, fajnie będzie.

Mój skarb bezbłędnie wyłowił z bałaganu na biurku moją aktualną książkę.

– Ciebie znowu gdzieś niesie – rozszyfrowała mnie natychmiast, przerzucając kartki. – Będiesz się włóczył, zadawał głupie pytania, i dziwił się, czemu się nie zachwycam. Poza tym, ja muszę być w pracy, jakbyś nie wiedział.

– Nie możesz wziąć urlopu? – próbowałem ratować sytuację.

– Nawet nie słuchasz, jak do ciebie mówię – poskarżyła się lepszej części mnie i niebiosom. – Mamy przecież ten nowy projekt, jestem uziemiona.

Ja też. Żegnajcie pasje, trzeba ratować coś cenniejszego. W myślach układałem już plany na następne dwa tygodnie w naszym pięknym mieście.

– A właściwie to sobie jedź. – Moje szczęście postanowiło znowu mnie zaskoczyć. – Będzie trochę spokoju.

Uczepiłem się jej własnych słów. Upewniałem się dwieście razy, że mogę jechać, i że nie będzie miała do mnie żalu, po czym zacząłem się pakować.

Oczywiście, kiedy wróciłem, wypomniała mi to jeszcze nie raz i nie dwa. Kiedy nauczę się słuchać a nie odbierać sygnały dźwiękowe?

– Alberto, dzwońcu, jedziemy, mam coś ciekawego na tapecie! – ryczałem, waląc w drzwi mieszkania mojego przyjaciela i byłego współlokatora.

Cisza. Oczywiście. Mój meksykański kolega przed dwunastą w południe to zjawisko rzadsze od znikającej japońskiej floty. Nacisnąłem klamkę, z przyjemnością zauważając, że drzwi są otwarte. Wszedłem możliwie głośno, starając się wyrwać Alberto z łóżka nieinwazyjnie. Nie powiodło się, i po chwili musiałem sięgnąć po silniejsze środki. Przedarłem się przez ciemny, pełen podłogowych zasadzek pokój, po czym stanąłem nad łóżkiem z umieszczonym w środku drobnym Metysem i zawyłem:

– Alberto! Jedziemy stąd! Cuda się dzieją!

– Won stąd, karierowiczu – wymruczała zawartość pościeli. – Profesura ci nie wystarcza? Nobla z historii nie przyznają.

– Druga wojna, stary – kuśiłem. – Tajemniczy konwój.

– Idź szukać w literaturze – usłyszałem. – Do biblioteki marsz i czekać. Dojdę.

– Nie sądzę – odparłem. – Tam zamykają o ósmej wieczorem. Wyłaż leniu, jedziemy nad Pacyfik.

Z pościeli wynurzyła się krótkowłosa głowa z jednym otwartym okiem.

– Która część? – spytał mój nominalny podwładny.

– Południe, stary. Plaże, dziewczyny, słońce i morze – śpiewałem mu do ucha, rozsuwając zasłony i otwierając okna.

– W twoim wydaniu będą to komary, dżungla, błoto i bezzębne mamroczące staruchy, jak znam życie – porażony światłem i świeżym powietrzem Alberto odprawiał rytuał porannego marudzenia, szukając jednocześnie pasujących do siebie, a zarazem czystych części ubrania. – Pokaż no te twoje cuda – wyciągnął rękę po wyniki mojego grzebania w literaturze.

Poszedłem zrobić kawę i coś do jedzenia, podczas gdy mój kumpel mruczał coś do teczki. Czułem przez skórę, że połknął przynętę, ale dla zasady będzie jeszcze wił się przez jakiś czas na końcu żyłki.

– Po co ja? – spytał, kiedy wróciłem z pełną tacą.

– Żeby mi było raźniej – odpowiedziałem. – I żebym mógł wpisać z czystym sumieniem twoje nazwisko do artykułu. W ostatnim półroczu coś cicho o tobie było.

– Pisanie przeszkadza w myśleniu – odparł z dostojeństwem. Popatrzył w papiery. – Poza tym, najpierw musimy lecieć do Nowego Jorku. To Atlantyckie, nie Pacyfickie.

– Oj, ale ty marudny jesteś – zniecierpliwilem się. – To ja cudem znajduję naocznego świadka wydarzeń, jednego z niewielu dwudziestowiecznych, którzy dożyli kuracji długowieczności, wrywam szefowi z paszczy fundusze, narażam się na problemy rodzinne, a ten jeszcze narzeka. O, nawet śniadanie ci zrobiłem – pokazałem.

– Dobra, jadę – prychnął Alberto okruszkami.

Naprzód!

* * *

Nasz pierwszy kontakt był Amerykaninem. W trakcie rycia w zakurzonych papierzyskach i lśniących dyskach wydobyłem jego notatkę służbową opisującą kilka wraków znalezionych w okolicach wyspy Hancocka. Liczba znalezionych statków nawet pasowała do mojego tajemniczego konwoju, ale cała reszta była już wybitnie zagmatwana. Bo tak – Klebusch (tak nazywał się ów porucznik marynarki) opisał okręty zniszczone, niezdatne do użytku i całkowicie bezładne. Tyle, że w okolicy nie było nikogo, kto miałby szansę dorwać sługi cesarza. Zresztą, gdyby to Alianci zdołali odwinąć taki numer, to prasa wyłaby o tym kilka tygodni. W grudniu 1941 całe Stany modliły się o zwycięstwo. Jakiegokolwiek zwycięstwo.

I to był drugi hak. Czemu Klebusch i reszta nie rozgłosili swojego znaleziska? Kto z własnej woli rezygnuje z bycia bohaterem? Obracając w głowie te i inne pytania, zadzwoniłem do mieszkania 1018, w którym, według moich informacji, powinien mieszkać Wiliam Klebusch.

– Słucham – głos w domofonie był wyraźnie żeński. Hm.

– My do pana Klebuscha – powiedziałem możliwie profesjonalnie. – Jesteśmy historykami. Chcemy porozmawiać o jego służbie na statku.

– Bill zmarł dwa dni temu – odpowiedziała starszka z drugiego końca linii. – Przykro mi, ale nie mogę panom pomóc. Do widzenia.

– Chwileczkę – zaskomlałem błagalnie. – A nie rozmawiał z panią nigdy o wyspie Hancocka?

Zapanowała cisza. Już mieliśmy odejść, ale fałszywie zinterpretowałem sygnały. Nasza rozmówczyni nie odwiesiła słuchawki.

– To wy – odezwała się zmęczonym głosem. – Wejdźcie, mam coś dla was.

Wjechaliśmy na dziesiąte piętro. Staruszka, przygarbiona i szara, stała już przy drzwiach od windy, nie chciała, żebyśmy zblizali się do jej mieszkania. Nie chciała, żebyśmy do niej podchodzili. Wyciągnęła rękę, podała nam kopertę i niewielką broszurę, patrząc przy tym na nas nieprzyjemnie.

– Bill zmarł przez was – powiedziała zamiast powitania. – Przed śmiercią powiedział, że ktoś w końcu zainteresował się wyspą Hancocka i on ma teraz odejść. Biercie i znikajcie.

Od razu zrezygnowałem z ewentualnych usprawiedliwień, starsza pani ledwo nas tolerowała. Jedno głupie "ale my .." i rozładuje na nas swoje rozgoryczenie.

Nie chciałem jednak dać się tak łatwo zbyć – tajemnica nęciła i zobowiązywała. Policzyłem w myślach. Dwa dni temu przeczytałem o konwoju i zainteresowałem się sprawą.

– Skąd mógł to wiedzieć? – spytałem. – I dlaczego umarł?

– Nie wiem, i nie obchodzi mnie to. Nigdy nie wiedziałam o nim wiele, ale nie potrzebowałam tego do szczęścia – zbyła mnie. – Nie wiem też i nie obchodzi mnie, za co żyliśmy, ani jakim cudem załapał się na leki juwenilizacyjne tak wcześnie. Ta wyspa, związane z nią tajemnice, to one spowodowały jego śmierć i nie chcę więcej o tym słyszeć. Weźcie to i odejdźcie. To już teraz wasza sprawa.

Tak, teraz należało stanowczo iść. Źle zrozumiałem wdowę po poruczniku Klebuschu. To nie jej gniew, ale smutek nakazywał nam opuszczenie tej klatki schodowej. Skinąłem głową, akceptując w milczeniu jej polecenie. Alberto zrobił to samo, po czym zmyśliśmy się. Dopisałem śmierć Billa do coraz dłuższej listy hancockowskich zagadek.

* * *

Trząsałem się cały z niecierpliwości nad tym dokumentem, czekając objawienia i wyjaśnień. Nic z tego. Broszurka była streszczeniem, zbiorem najważniejszych fragmentów dotyczących całej wyspiarskiej afery. Oczywiście, Bill nie był na tyle miły, żeby opisać wszystko jasno i w szczegółach. Jego lakoniczna opowieść uczyniła cały problem jeszcze bardziej zagmatwanym. Podam próbkę jego nieskomplikowanego i nie niosącego informacji stylu:

Czytasz ten dziennik. To dobrze. Masz misję do wykonania, więc czytaj uważnie.

Mieliśmy zabrać kilku niedobitków i ich sprzęt z wyspy Hancocka. Misja prawie samobójcza. Cały obszar patrolowany przez japońskie samoloty i okręty. Wszyscy klęliśmy idiotę, który kazał wznieść na tej cholernej wysepce tajne laboratorium badawcze.

Płynęliśmy już kilka dni. Jednego poranka mgła zasłoniła świat a przyrządy nawigacyjne przestały działać. Na okręcie rozniósł się zapach pełnych spodni. Powoli posuwaliśmy się naprzód. Wtedy trafiliśmy na kilka japońskich okrętów. Dwa niszczyciele, tego jestem pewien. Było kilka transportowców, ale nie wiem ile. Za bardzo byłem przerażony, żeby móc liczyć.

Stalowe burty i pokłady statków były porozdzierane i poskręcane jak kartka papieru, która ma zaraz wylądować w koszu na śmieci. Kiedyś w górach widziałem zamarznięty wodospad. Okręty wyglądały bardzo podobnie. Nie było tam całego równego cala kwadratowego. Nie wiem, jakim cudem te wraki znajdowały się jeszcze na powierzchni.

Kapitan zarządził ucieczkę, a my posłuchaliśmy go natychmiast. Nikt nie pytał, dokąd i czy po drodze nie ma raf. Nic nie było widać, płynęliśmy na wyczucie. Nie zadziałało. Znaleźliśmy znowu metalowy cmentarz. To samo stało się za drugim razem. Ten trzeci raz trochę na otrzeźwił. Oprócz strachu pojawiła się ciekawość.

Trzech z nas – ja, Andrew i Kevin – wsiadło na ponton i popłynęło na plażę. Przeszukaliśmy wysepkę i znaleźliśmy kilka tajemniczych konstrukcji. Poszliśmy w głąb wyspy szukać dalej.

To, co można odnaleźć na wyspie Hancocka, nie może zostać opisane. Nikt nie powinien wiedzieć, co tam się znajduje. Poza tym, gdybym napisał prawdę, uznalibyście mnie za wariata. Uwierzcie mi jednak, że stoi przed wami największa i najważniejsza przygoda waszego życia. A jeżeli to nie wystarczy, to w kopercie znajdziecie adres, klucz i hasło do sejfu. Sprawdźcie, co tam jest.

Dalsze opisy nie wnosiły wiele więcej, dotyczyły głównie najkrótszej drogi wiodącej na wyspę. Klucz był, hasło też. Zżerani ciekawością pognaliśmy we wskazane w testamencie miejsce. Okazało się, że skierowano nas do mega świątyni kapitalizmu, czyli największego banku w Nowym Jorku. Zadarliśmy głowy, ale szczytu budynku nie było widać. Alberto klepnął mnie w ramię i pokazał na stojących dookoła bliźnich. Wszyscy patrzyli w górę, zafascynowani znikającym w chmurach końcem.

– Piękne – powiedział. – Zmiękczej każdego interesanta jeszcze przed wejściem.

– Ze mną im się udało – przyznałem. – Idź przodem, tobie mniej zaszkodziło.

Przywitał nas urzędnik wypolerowany równie dobrze co marmur podłogi. Szesnaście jaskrawych odcieni stroju Alberta zasugerowało mu wyraźnie, że oto dwóch biedaków przyszło zapaskudzić jego przybytek. Młody akolita bogini Mamony szykował się już do agresji słownej, ale Alberto był szybszy. Zamachał mu przed nosem kluczykiem i możliwie obraźliwym tonem powiedział:

– Aport. Sprowadź wyższego rangą.

Młodzieniec wytresowany był dobrze, bo pogalopował po zwierzchnika, aż mu spod butów iskry szły. Mój przyjaciel uśmiechnął się szerzej niż najpaskudniejsza ropucha:

– Muszę cię przeprosić – wygłosił najformalniejszym z tonów. – Było warto jechać.

Stoicyzm Alberta czasami ulatniał się jak kałuża w słońcu. Najwyraźniej miałem właśnie okazję obejrzeć mego kumpla w stanie agresji. Wykonałem mentalny odpowiednik rozparcia się w kinowym fotelu i czekałem na przedstawienie. Alberto w głośnym monologu podawał cenę luksusowego wyposażenia holu, wyjaśniał ile indiańskich rodzin w Brazylii mogłoby żyć przez rok za jedną poręcz i patrzył oskarżycielsko na ludzkie wyposażenie instytucji. Ochroniarzom i urzędnikom nad kołnierzykami wyrosły pomidory, a klienci zaczęli szemrać, ale magiczna moc kluczyka roztaczała nad nami potężny parasol Ważnego Gościa. Niestety rozrywka mego kolegi, jak wszystko co piękne, musiała się skończyć. Pojawił się Ważniejszy, który szybko zabrał Alberta od jego publiczności. Dogałem ich, wyprzedziłem i przy windach byłem pierwszy. Tam miałem przymusowy postój, bo nie wiedziałem, dokąd mamy jechać. Nienawidzę czekać, stać w kolejkach, nie mogę znieść myśli, że muszę po prostu nic nie robić. Przypomniałem sobie jeden z zasłyszanych ostatnio przebojów i zacząłem go wystukiwać. Po wieczności trzydziestu sekund pojawił się nasz przewodnik i poruszający się wyjątkowo luźnym krokiem Alberto. Pozdrowiał przechodzących biznesmenów, pieszczotliwie wyzywając ich od rabusiów i złodziei. Na szczęście nikt nie rozumiał jego rodzimego dialektu.

Nie należy się więc dziwić, że formalności odbyły się niezwykle szybko i bez biurokratycznych oporów. Całe szczęście, bo umieszczony w sejfie tajny testament Klebuscha był dziełem dobrze obeznanego z prawem świra. Okazało się, że nasz kontakt był obrzydliwie bogaty. Połowa jego pieniędzy miała się dostać żonie, a drugą połowę miał się po równo podzielić bank i... my. Zostaliśmy wymienieni z imienia i nazwiska, Bill podał nasz rysopis i znaki szczególne. Warunek był tylko jeden – mieliśmy polecieć na wyspę Hancocka. Takiej perswazji nie mogliśmy odmówić. Następny samolot we właściwym kierunku zawierał już nasze ciała. Dusze do spółki z umysłami krążyły po tajemniczej wyspie.

* * *

– Jak dostać się na wyspę Hancocka? – spytałem na najbliższej naszymu celowi wysepce. Był to ostatni punkt na mapie, do którego docierała jakakolwiek regularna komunikacja. Przewoźnicy i kupcy zdzierali z nas skórę tak bezlitośnie, że w międzyczasie zdążyliśmy już chyba podwoić budżet okolicznych plemiennych państweczek.

– Po co? Tam przecież nie ma nic ciekawego – odpowiedział barman, lokalne źródło informacji wszelkich.

– A skąd to wiesz? – spytałem.

– Kupa ludzi tam już była – odpowiedział, nalewając nam jakiś morderczy destylat. – Schodzą na plażę i wracają. Podobno straszna nuda.

Aha. W naszym opętanym manią dziewiczego miejsca świecie nikt nie interesuje się nietkniętą przez człowieka wysepką, którą Zieloni przeoczyli podczas zakładania swoich super rezerwatów. Alberto milczał na jeden z tysiąca swoich sposobów, ale widziałem, że obrabia te same myśli.

– A ktoś się w te rejony wybiera? – spytałem. – Dołączylibyśmy się chętnie.

Barman rozjarzył się nieco.

– Kuzyn mojej szwagierki pływa w te okolice łowić ryby. Może was podwieźć, a potem dopłyniecie sobie pontonem – poinformował.

– A skąd ponton? – dociekałem, choć odpowiedź czułem już przez skórę. Wiedziałem, że barman zacznie lśnić swymi zębami niczym góry lodowe, a nasz utęskniony środek transportu będzie miał:

– ...wujek teściowej pożyczycy go wam chętnie za niewielką opłatą – zakończył nasz rozmówca.

Kupiliśmy jeszcze sprzęt turystyczny od brata ciotki, leki od wuja siostry i prowiant od naszego przedsiębiorczego i kochającego rodzinę rozmówcy. Policzył nam wszystko razem, promieniejąc, zapodał straszliwą sumę i po długich targach zadowolił się marnym, jego zdaniem, datkiem, który jednak, według Alberta, czynił rozległą i dobrze wyposażoną rodzinę miejscową potęgą gospodarczą.

Nie da się jednak ukryć, że barman był słowny, i jego niezidentyfikowany pociotek pływający objawił się na nabrzeżu jak najbardziej punktualnie. Posadził nas pod płachtą, a potem kazał zamknąć się i podziwiać widoki. Oczywiście nie posłuchałem i poszedłem wypytać go o wyspę Hancocka.

Kapitan trójosobowej załogi okazał się być całkiem uprzejmy, a w dodatku znaleźliśmy nawet wspólny język. Tolerował mnie całkiem długo, a na moje pytania odpowiadał całkiem szczerze. Dopiero kiedy spytałem o cel podróży, przeżegnał się, wykonał jeszcze parę gestów odpędzania złego i odpowiedział krótko:

– Tam nie ma nic ciekawego. A jak się za długo węszy, to można życie stracić.

Koniec rozmowy. Chciałem jeszcze zagajać, ale zostałem potraktowany zdecydowanym warknięciem głuszącym z rodzaju "Poszedł, lądowy szczurze".

W tej średnio miłej atmosferze dotarliśmy do wyspy. Kapitan pokazał nam wyspę, wsadził do pontonu i wytłumaczył, kiedy tu przepływa i jak go znaleźć. Prowiantu dostaliśmy wiele, więc nie musieliśmy się śpieszyć, a w razie problemów należało dzwonić na jego komórkę i liczyć, że będzie w zasięgu. Zazwyczaj bywał.

Powoli, niezgrabnie i ostrożnie zeszliliśmy na łódkę, po czym natychmiast przybraliśmy miny dzielnych zdobywców nieznanego przestrzeni. Alberto, zawsze zdolniejszy technicznie, pociągnął za to, co miało

uruchomić silnik, a ja stanąłem na dziobie i zacząłem się przyglądać naszemu celowi przez lornetkę, nie zapominając przy tym o utrzymaniu odpowiednio romantycznej postawy. Zachowywałem się jak napalony odkrywca najistotniejszych dla Wszechświata sekretów, czyli jak idiota. Nic na to nie chciałem poradzić – czułem się jak Kolumb i zamierzałem pozwolić temu cudownemu uczuciu panować nade mną możliwie najdłużej. Zdarza się. Alberto, tradycyjnie pełen spokoju i odprężenia, rozparł się na tyle łodzi i opalał, ale i jemu podejrzenie często zdarzało się z napięciem wpatrywać w wyspę Hancocka.

Tak sobie przez chwilę płynęliśmy, wyspa nabierała szczegółów, nasi przewoźnicy dawno odpłynęli, i wtedy zniecka zameldowała się pani Przygoda. Jak każda prawdziwa kobieta, zmieniła szaty przed występem. Klebuscha wzięła w obroty mgła – na nas lunął deszcz. Z nieba spadły potoki wody, przykleiły nasze ubrania do ciała, a potem zaczęły usuwać naskórek. Ponton zmienił się w basenik, pomimo, że obaj wylewaliśmy wodę jak szaleni. Kursu nie pilnowaliśmy, bo nie było jak – otaczała nas szara wodna ściana, zbudowana z padającego deszczu, wyrosłych zniecka fal i ogromnych fontann, które teoretycznie miały być efektami zderzenia kropel z morzem. Nieco mnie otrzeźwił ten widok, bo bezwzględnie oznaczało to, że ktoś robi sobie z nas jaja. Przestałem wylewać wodę i zacząłem rozglądać się dookoła.

Wrzasnąłem. Ze strachu. Oto przed nami pojawił się upragniony brzeg wyspy, co więcej, nie atmosferycznego nie przesłaniało tego pięknego widoku. Na drodze stały nam jedynie niewątpliwe wytwory ludzkiej ręki – trupy. Nad powierzchnię wody wynurzały się nieporządne szeregi czarnych krzyży ozdobionych lśniącymi ciałami. Upiorny las groził w milczeniu, bił po oczach straszliwym kontrastem ciemnego drewna i białego ciała.

Wpatrywałem się zachłannie w horror. Bill uprzedzał o niezwykłych widokach, ale, jak to on, nie podawał zbędnych szczegółów. Przestało padać, Alberto stanął więc obok i medytował.

– Ile tego może być? – spytał.

– Dwieście sześćdziesiąt trzy – odpowiedziałem bez namysłu.

– Tak mi się też zdawało – mruknął. – Umiesz tak szybko liczyć?

– Nie. Sądziś, że ktoś nam grzebie w głowach? – Wszystko wskazywało na to, że wyspa postanowiła pokazać nam swoje możliwości.

– To ten krajobraz – powiedział. – Ma pobudzać pewne emocje, niczym reklama, albo dzieło sztuki. Popatrz na te ciała. Żaden człowiek – żywy ani martwy – tak nie wygląda.

Rzeczywiście. Prąd podprowadził naszą łódkę na tyle blisko, że mogliśmy przyjrzeć się doskonale białym i idealnie ukształtowanym ciałom ofiar. To nie byli ludzie, ba to nie były żadne żywe istoty. Ale ich idealne kształty, ich nieludzko precyzyjnie wygładzone mięśnie i zawarte w ich naprężeniu przerażenie czyniły z nich widok wstrząsający. Rzeźby emanowały lękiem przed śmiercią nieznaną i nieoczekiwaną, pokazywały, jak łatwo nieznaną siłą może wydrzeć nam życie i rzucić na krzyż. Patrzyliśmy, zahipnotyzowani ohydą, a łódź sunęła dalej.

Stuknęliśmy o coś. Tym razem nic więcej niż najzwyczajniejszy na świecie pomost do cumowania. Przywiązaliśmy do niego ponton, upewniwszy się najpierw, że molo rzeczywiście kończy się na lądzie. Dopiero wtedy wskoczyliśmy na drewnianą powierzchnię i odetchnęliśmy z ulgą. Nieme groźby ukrzyżowanych przestały do nas docierać. Byliśmy już na stałym lądzie, niezależni od kaprysów wody i pogody. Popatrzyliśmy wzdłuż pomostu – po lewej stronie widać było plażę, ale po prawej cienka linia zdawała się nie mieć końca. Gdzieś daleko był horyzont, ale nawet na nim widać było czarną kropkę. W środku zaczęła rwać mnie stara dobra ciekawość, odwróciłem się plecami do wyspy i ruszyłem, z trudnością powstrzymując się od biegu. I byłbym leciał, aż do sądnego dnia, gdyby nie twarda dłoń trzymająca mnie za spodnie.

– A ty dokąd? – spytał mój kolega.

– Ależ to molo długie – zachwyliem się. – Ciekawe, co jest na końcu?

– Woda – odpowiedział niewzruszony Alberto. – Jestem głodny i zmęczony. Idziemy na plażę najesć się. Koniec z twoim ganiem za nieznanym. Bierz żarcie, masz stanowczo za dużo energii.

Ciężko jest być romantycznym odkrywcą, kiedy u boku stoi taki automat do przerobu substancji organicznych. Obraziłem się i dumnie poszedłem na plażę, starając się okazać, jak bardzo jestem dotknięty. Alberto oczywiście miał to gdzieś. Przeszło mi po kwadransie.

Plaża nie była pusta. Powinna być – wszyscy zarzekali się, że nikt na wyspie nie mieszka. Ale ich zapewnienia okazały się bajką, bo nieopodal nas, tuż obok linii, za którą zaczynała się roślinność, siedziała śliczna dziewczyna. Skórę miała złotą i gładką, niczym ze stopionego piasku. Czarna grzywa kończyła się tuż nad dwoma węgielkami oczu. Podniosła niewielką główkę – była taka filigranowa – i popatrzyła na nas zaciekawiona.

Alberto założył uśmiech godowy i ruszył do najstarszego rytuału ludzkości. Jakoś zapomniał o głodzie i zmęczeniu, notoryczny podrywacz. Nadeszła pora zemsty:

– Gdzie leziesz rozmnażaczu? – syknąłem, ciągnąc go za koszulę.

– Nie zrozumiesz tego, smętny monogamista – westchnął, uwalniając się od ubrania.

Dziewczyna patrzyła na nas z zainteresowaniem. Uśmiechnęła się, chyba rozbawiona, a mnie zadrżało serce. Chwyliem napalonego Meksyka za spodnie. Popatrzył na mnie z wyrzutem, po czym zgrabnym ruchem odpiął zamek.

– I tak jesteśmy na plaży – wzruszył ramionami.

Nie wiem, za co musiałbym go jeszcze chwycić, ale nadeszła odsiecz w postaci dwojga ślicznych małych czarnowłosych dzieci. Dziewczkę wstało – ach jak ona potrafiła się poruszać! – podeszło do małych i wzięło na ręce mniejsze z nich. Rodzinnemu podobieństwu nie dało się zaprzeczyć. Byliśmy uratowani – Alberto nie miał nic przeciwko cudzym mężom, ale potomstwo, wskutek tajemniczych zdarzeń z przeszłości, gasiło w nim żądze skuteczniejszej niż zimny prysznic.

I tak zasiedliśmy do pierwszego posiłku na wyspie Hancocka. Jedliśmy go ze smakiem, mniej więcej przez kwadrans. Potem z lasu wypadły cztery brzydkie, niewysokie, śmierdzące, lecz niestety bardzo silne małpoludy, zeżarły wszystko co mieliśmy i popędziły nas ze sobą, w głąb dżungli. Protestowałem, ale wywalczyłem sobie w ten sposób jedynie luksusowe miejsce na grzbiecie jednej z małp. Stoik Alberto biegł równym tempem, zmuszony przez okoliczności do trzymania się blisko naszych przewodników.

Bo niestety, pół godziny po tym, jak zostaliśmy porwani, nie mieliśmy już szansy na powrót. Zrobiło się parno, duszno i zielono. Nie było ścieżek ani szlaków jedynie roślinność, tak intensywna i barwna, że oczy piekły od wpatrywania się. Nie było nieba, nie było ziemi, jedynie drzewa, krzewy, grzyby, mchy, paprocie, i reszta tak ukochanego przez botaników inwentarza. Postanowiłem po powrocie skopać jakiegoś biologa. Małpoludy mogły nas tu zostawić i czekać, aż zginiemy, szukając wyjścia z tego piekielnego labiryntu z chlorofilem w środku.

Ziółka, choć kolorowe, obrzydły nam dość szybko. Próbowaliśmy zagać rozmowę, ale nasi porywacze odwarkiwali jedynie krótko. Nie wiem, mieli nas chyba za inteligentów, którzy koniecznie muszą się popisać umiejętnością mówienia. Rozumieli dużo z tego, co mówimy, bo kiedy rozpoczęliśmy z Alberto niewinne przekomarzanie na temat małp, małpiatek i pokrewnych stworzonek, zrobili brzydkie miny z dużą ilością wyszczerzonych zębów. Nie wiem, czemu nasi krewniacy nas nie lubili, ale czekało nas na miejscu coś nieprzyjemnego.

Nuda. Po prostu nuda. Wolałbym chyba wyrafinowane tortury. Małpoludy zajmowały się zapewnieniem sobie egzystencji, niczym innym. Obżerały się wszystkim, co nie uciekało, albo uciekało za wolno. Ewentualnych drapieżników włochate mięśniaki witały szybko sformowanym szeregiem muskularnych samców wyposażonych w pałki oraz strugą kamieni i wyzwick wysyłaną przez łagodne z natury samice. Nic im nie groziło, nic nie mogło im stawić czoła, byli zbyt potężni jak na swoją okolicę.

Właściwie całą ich rozrywką był seks i związane z tym zawirowania, na tym to zagadnieniu skupiała się ich wysoko rozwinięta inteligencja. Kto, z kim i dlaczego, te problemy były wśród naszych porywaczy najbardziej modne. Ja, niestety, nigdy nie byłem fanem oper mydlanych i nie potrafiłem wykrzesać w sobie zainteresowania. Panienci, wskutek nadmiaru owłosienia i zębów również nie wzbudzały mojego zapału. Pójść nie było gdzie, gubiłem się po kwadransie spaceru. Spać mogłem jedynie przez pół doby. Zaczynała mnie trawić gorączka i niepokój, zamiast pulsu, pod skórą czułem rytmiczne bicie moich głodnych wrażeń nerwów. Alberto, oczywiście, medytował.

Bicie było coraz mocniejsze. Gdzieś bardzo głęboko pod pokrywą mojej czaszki, tam, gdzie drzemią najstarsze instynkty, odczuwałem głucho i niepokojące dudnienie. Słońce i ciemność wybijały swój rytm, dzień następował po nocy, księżyc wykonywał swoje sztuczki, a ja z każdym dniem, godziną nawet, czułem się coraz bardziej zaniepokojony.

– Zgłodniałem? – spytałem na głos machinalnie.

– Nie? – spróbował odpowiedzieć Alberto.

– Dlaczego? – spytałem tępo.

– Pojęcia nie mam – odpowiedział mój kolega. Zresztą, taka była to odpowiedź na większość naszych pytań. Udzielaliśmy jej sobie sami – małpoludy nadal nie były specjalnie gadatliwe.

Zacząłem sprawdzać sam siebie. Testować, co mogę, z czym się ten brak głodu wiąże. Odkryłem, że nie muszę jeść. Że nie chce mi się pić. Że jak nie czuję potrzeby, to mogę zrezygnować ze snu na kilka dni. Że mogę zrobić dwieście pompek i wstać żywy. Że toalety nie potrzebuję zupełnie. Straszne.

Nieoczekiwany prezent okazał się trojańskim koniem. Pozbawiony potrzeb i dążeń, niezdolny do określenia swojego miejsca w przestrzeni i czasie, zaczynałem się powoli roztopiać w ciepłe i zieleni. Gubiłem myśli, traciłem wspomnienia i byłem coraz bardziej rozjuszony. Nosiło mnie – ganiałem po lesie, wałać w drzewa i płosząc naszych gospodarzy, rozganiałem kijem kopulujące w spokoju pary i ogólnie robiłem za złośliwy wrzód na zdrowym ciele towarzystwa. Przyszedł w końcu dzień, kiedy chwyciłem ciężkie polano i ruszyłem z nim na mojego przyjaciela.

– Idziemy stąd – zakomenderowałem. – Dość gnicia w ciepełku, trzeba wypełnić zadanie.

– Jakie zadanie? – stęknął Alberto, rozluźniony i pełen miłości do świata. – Ktoś nam coś zadał? Kazał? Gdzie się wyrzwasz?

– Gdziekolwiek – warknąłem. – Mam dość tego spokoju. Chcę z powrotem do mojej zaganianej cywilizacji.

Alberto popatrzył na mnie, ocenił polano w mej ręce, przyjrzał się mojemu sztormowemu obliczu i, z właściwym sobie poczuciem realizmu, stwierdził pojednawczo:

– Dobra, idziemy. I tak zaczynałem się nudzić.

Zwycięstwa nad moim kolegą zdarzają mi się rzadko i głównie po zastosowaniu różnorodnych i wielorakich środków nacisku, albowiem jest on bydlęciami leniwym, choć wyposażonym w świetny

komputer pokładowy. Postanowiłem więc wykorzystać sytuację i pogałęm przed siebie, narzucając duże tempo.

Wtedy małpoludy postanowiły zrobić nam ostatnią niespodziankę. Zdażyłem jedynie dojść do skraju naszej polany, kiedy drogę zastąpiło mi dwóch mięśniaków z pałami. Dzierżyli je z wprawą, nie tak jak ja, prosty amator. Nie zamierzali nam jednak wybijać z głowy dalszej podróży, wręcz przeciwnie – pokazali, gdzie mamy iść. Poszliśmy, choć nie było ścieżki i po krótkim spacerze trafiliśmy przed oblicza pary bardzo siwych, bardzo starych i bardzo wygadanych małpoludów. Wyglądali prawie identycznie, lewy miał tylko nieco więcej zmarszczek.

– Nadajecie się – stęknął ten z lewej. – Przeszliście pierwsze zapory i możecie szukać dalej.

– A niby czego mamy szukać? – spytałem zaciętrzewiony. – Plaża jest niedaleko, wracamy, pakujemy się, i zapominamy o sprawie.

Prawy małpolud chrząknął.

– Nie wróćcie, choćbyście spędzili na poszukiwaniach całe życie. Musicie cały czas iść naprzód, to jedyna droga.

– A skąd niby o tym wiecie? – pytałem dalej. – Przecież się stąd nie ruszacie? I w ogóle, czemu widzimy was dopiero teraz? I czemu wy dwaj umiecie mówić, a ci pałkarze nie?

Alberto westchnął ciężko.

– Ty jak o coś spytasz, analityku, to mi łyzy rozpaczy w gardle stają – podsumował. – Dopuść do głosu fachowca. Po pierwsze: dlaczego nie musimy jeść? Po drugie: po co tu jesteśmy? Po trzecie...

– Zaraz – odpowiedział jeden z małpich starców. – Po kolei. My jesteśmy tu, bo trzeba było przed wami uciekać, bracia w rozumie. Kiedyś mieszkaliśmy razem, ale z wami, jak zresztą widać, nie da się wytrzymać. Wędrowcy zbudowali nam wyspę, schronienie na zawsze i nauczyli niektórych z nas mówić, żeby móc się z wami porozumieć.

– A co? Wędrowcy zarabiają na turystach, zwiedzających rezerwat? – spytałem – I was akurat wybrali na przewodników? Kiepsko wam idzie, chłopaki, poskarżę się szefom na obsługę.

Dowcip się zmarnował. Nadal patrzyli na nas spode łba.

– Świat się zmienia, wy się zmieniacie, musimy mieć kontakt – odpowiedzieli.

– A nie mogli was gdzieś dalej przenieść? – przerwałem.

– To nie jest specjalnie ruchliwe miejsce – skrzywił się Alberto. – Kto to są Wędrowcy, o, to jest istotna sprawa.

– Nie bardzo wiadomo. To najstarsi i najpotężniejsi z nas, wszystkich rozumnych. Podobno są z nami spokrewnieni, ale to chyba bajka dla nas, słabowitych młodzianków – odpowiedział małpolud. – Między innymi dzięki nim nie musicie jeść.

– I pewnie jeszcze powiesz, że przez nich tu jesteśmy? – zaatakowałem. – O ile pamiętam to paru waszych młodszych krewnych nas tu przyniosło.

– Oczywiście, że sprowadzili was tu Wędrowcy – potwierdzili obaj.

Zdębiałem. Alberto zmrużył oczy i zaczął się natężyć.

– Nie do końca rozumiemy, po co tu jesteście – wyjaśnił mniej zmarszczony małpolud. – Wiemy jedynie, że macie iść dalej. Najpierw musicie jednak poczuć chęć wyrwania się stąd, zostawienia nas za sobą. Teraz pójdziecie na step. Spotkacie Drapieźnych, może oni będą w stanie pokierować wami dalej.

– Uważajcie – dodał ten drugi. – Oni są dziwni – powiedział włochaty, gadający i stanowczo przemądrzały małpolud, nie zmrużywszy nawet oka.

– Twierdzą, że są bardzo dowcipni – ciągnął. – Moim zdaniem są po prostu szaleni. Zresztą, są do was najbardziej podobni, najdłużej żyliście razem.

– Żyliście razem? – spytałem osłupiały.

– Kiedyś – westchnął małpolud. – Był taki moment, bardzo dawno temu, że wszyscy żyliśmy razem. My, wy, oni, wszyscy rozumni.

Alberto popatrzył na obu kudłaczy sceptycznie. Ja też.

– Jak zwykle – parsknął lewy. Małpoludy zachowywały się jak rodzice zmęczeni nieustanną kłótnią z nastolatkiem. – Oczywiście wicie lepiej i nie wierzycie. A idźcie w cholerę, niech się inni wami martwią.

Praprzodkowie wygonili nas w step. Doprowadzili nas do krańca lasu, który okazał się być zawstydzająco blisko, machnęli łapą w kierunku, który był nam przeznaczony, zabełkotali na pożegnanie (dostała nam się nie mówiąca eskorta) i poszli. Ruszyliśmy. Utrzymać się na szlaku było łatwo, na horyzoncie majaczyła kępa drzew, która, kiedy już do niej dotarliśmy, okazała się być wyposażona w małe źródelko. Dookoła nas był step, równy i trawiasty, bez znaków szczególnych i drogowskazów z napisem "Wasz cel". Postanowiliśmy, z braku natchnionych i wielkich idei, poczekać. Znowu groziło nam gnicie w ciepełku. Czuję, że ta wędrówka wykończy mnie nerwowo.

Na szczęście oczekiwanie nie trwało długo – po dwóch dniach spotkaliśmy pierwszego z Drapieźnych. Pojawił się znieca. W ogromnych zębach trzymał kość, uszy miał lekko spiczaste, a na twarzy mnóstwo, ale to naprawdę mnóstwo, szczeciniastego włosia. Na nasz widok zaczął głucho warczeć. Odruchowo zaczęliśmy się wycofywać. Na szczęście Alberto myśli szybko:

– Bardzo dowcipni? – zapytał mnie.

Staliśmy i przyjrzelśmy się stojącej przed nami masywnej postaci. Zastrachani, mierzyliśmy wzrokiem jego muskuły grające pod płatami lekko pręgowanej skóry, masywny kark, podziwialiśmy, przerażeni, wyszczerzone kły i zastanawialiśmy się nad pochodzeniem krwi i brudu na jego ni to rękach, ni to łapach. Wilkołak odrzucił kość i zaczął na cały głos rechotać.

– Aleście mieli miny! – ryczał coraz głośniejsze – A jak mi starsi mówili, to nie wierzyłem!

Popatrzyliśmy na siebie z Albertem. Zaczynałem powoli rozumieć, dlaczego nasze gatunki nie mogły żyć ze sobą razem. Ktoś nerwowo ze spluwą zaraz by go zastrzelił, a ten kretyn jeszcze się cieszy. Jaki tam zresztą "ktoś"? Sam bym go utłukł, dobił dla pewności i zawiózł na sekcję do najbliższego biologa. Drapieźny łączył w sobie człowieka i zwierzę – futro i skóra, twarz, ale na wydłużonej po wilczemu głowie, ręce chwytne, ale z pazurami – moja ciekawość zaczynała dopominać się o zbadanie okazu. Niestety, żadnej broni palnej w pobliżu nie było, a podchodzenie z pałą w rękę i mruczenie "kici, kici" nie wydawało mi się strategią mogącą przynieść wiele korzyści. Moje szybkie rozmyślenia o pułapkach, złożeniu ciała w łodzi i problemach transportowych przerwał następny ryk:

– Wy w podróży? – ryknął radośnie młodociany dowcipniś. – Nieważne, chodźcie, zabawimy się!

– W co? – spytałem przytłoczony hałaśliwą osobowością naszego rozmówcy i zmęczony jego nadmiernym entuzjazmem.

– Zapolujemy – zawył futrzak. – Zwierzyna jest jeszcze na stepie, a mnie burczy w brzuchu.

Wskazał jakieś dalekie plamki na horyzoncie i zaczął przybierać formę nadającą się bardziej do szybkiego biegu. Opadł na cztery łapy – już tylko łapy, bo jego palce skurczyły się w tym samym momencie, w którym wyrósł mu ogon. Szast, prast i oto mieliśmy przed sobą ponadwymiarowego wilka. Bydlę popatrzyło na nasze osłupiałe twarze, wyszczerzyło zęby, pomachało ogonem i pognało, zostawiając za sobą chmurę kurzu. Nagle obrócił się, pokręcił nieco pyskiem i łbem, a kiedy już mógł wydobyć ze swoje krtani składne dźwięki wycharczał:

– Idźcie za mną, biegnę prawie we właściwym kierunku.

Prawie. Powlekliśmy się za nim. Niepokoiło mnie to "prawie", nasz przewodnik nie wyglądał na miłośnika krótkich szlaków i mógł nas powieść drogą zupełnie bez sensu i celu, bo by mu się to dowcipnym zdało. W zasadzie nie męczylimy się, ale nie był to absolutny pewnik. Nie mieliśmy jeszcze okazji sprawdzić, na ile skuteczne są nasze nowe, tajemnicze moce.

Droga była dokładnie tak długa, jak sobie to wyobrażałem. No, może dłuższa o te parę kroków, których nie zdołałem przejść. Cholerny wilkołak urządził nam tygodniowy maraton. Zaledwie ujrzałem ogień i gromadę człekopodobnych kształtów, dałem nogom sygnał do postoju. Zwaliłem się na ziemię, utuliłem kłęb trawy i odpływałem w bezsenną noc. Zrozumiałem, czemu wyspa wyposażyla nas w dodatkową odporność na zmęczenie i brak snu – inaczej nie przeszlibyśmy tej drogi.

Pobudkę urządziły mi pasożyty. Może i byliśmy wysłannikami przeznaczenia, czy też odkrywcami prastarych tajemnic, lecz nikt niestety nie poinformował o tym okolicznego robactwa. W porównaniu z Drapieżnymi musieliśmy stanowić specjał – nadal, nie wiadomo czemu, czyści, wciąż pachnący ostatnią kąpielą, wyróżnialiśmy się bardzo z naszego otoczenia. Nasi gospodarze bowiem cuchnęli straszliwie. Nie wiem, jakim cudem udawało im się podejść do ofiar, i nie rozumiem, czemu czuli taką odrazę do nurzania się w pobliskim strumieniu. Delikatne sugestie omijały ich chyżo i uciekały w góry, a bezpośrednie pytania rozbijały się na słowach "myć" i "smród". Niby mieliśmy ten język jednaki, ale kiedy, wytracony z równowagi wyjątkowym bukietem sąsiada wyzwałem go od śmierdziela, nie próbował mnie zeżreć, a jedynie wyszczerzył zęby w uśmiechu. Dziwne to było, bo te cholerne, niemyte wesołki codziennie gryzły i drapały się do krwi z byle powodu.

Byliśmy co do jednego zgodni – długo nie ma co z nimi przebywać. Byli nieobliczalni, gotowi się bratać i mordować w tej samej chwili. Każdy postój ozdobiony był kilkoma trupami. Wyginęliby pewnie dawno, gdyby nie to, że regularnie pojawiali się, nie wiadomo skąd, nowi. Miało to coś wspólnego z ich częstymi samotnymi wypadami, ale, wystraszeni, woleliśmy się nie dopytywać.

Bąłem się – Alberto chyba też – ich reakcji. Prawem była tu pięść – każdy spór, każdą wątpliwość rozstrzygały kły i pazury. Nas, na szczęście, omijali (raz tylko mnie o mało co nie zagryźli), uznając za element swojego świata, niejadalny, niepotrzebny i najzupełniej zrozumiały. Nie wiedzieliśmy jednak, kiedy im przejdzie, więc krążyliśmy za nimi posłusznie od ogniska do ogniska, od jednych łowów do drugich, a wieczorami siedzieliśmy zafrasowani na suchej trawie pośród wilkołaków. Od czasu do czasu jeden z nich decydował się na rozmowę z nami, frustrując nas dodatkowo. Dla przykładu: usiadł obok nas jeden starszy, wyleniały, acz nadal groźny i zaczął wypytywać o nasze zwyczajowe szlaki łowieckie. W odpowiedzi opisałem mu drogę do najbliższego sklepu.

– I wy to bierzecie? Bez walki? Roślinożerni jesteście? – spytał zdumiony.

– Wszystkożerni – odparłem. – Nie wiedziałeś? Nie pamiętasz?

– Możliwe – wzruszył ramionami. – Chyba nawet kiedyś wspólnie z waszymi polowałem, ale odeszliście i zapomnieliśmy. Czyli nie walczyacie?

Pomyślałem o podaniach o granty.

– Walczymy – odparłem zdecydowanie.

– A jednak! – ucieszył się. – Zawsze byliście zadziorni i paskudni. Tylko my potrafiliśmy z wami wytrzymać. Tego w ręku do zabijania jeszcze używacie?

Alberto chyba zrozumiał, bo odął się poczuciem ludzkiej wyższości i odparł:

– Mamy jeszcze lepsze.

Drapieżny najwyraźniej nie cenił naszej cywilizacji:

– Ee tam, te wasze pomysły. Mięsa niby dużo, ale co to za rozrywka. – Zamyślił się. – I nadal was tak nosi?

– To znaczy? – zainteresowałem się.

– Zawsze mieliście w stadzie jednego, który twierdził, że za górami jest lepiej. Tłumaczyło się mu, zwierzęta mu przynosiliśmy, drzewa na ten, no – poszukał słowa – dom wrywaliśmy, a on i tak w końcu odchodził.

– Polecieliśmy na inne planety – pochwalił się Alberto.

– Inne co? – skontrował stary Drapieżny.

– Kamienne kule – objaśniłem.

– Kamienne kule? – dopytywał się – Jakie kamienne kule?

Alberto pokazał na niebo. Noc wschodziła, ciepła i czarna, gwiazdy lśniły, aż oczy bolały. Mój kolega rozpoczął wykład kosmologii. Ja nie miałem cierpliwości, a nie chciałem ryzykować bycia pożartym. Moją ostatnią rozmowę zakończyłem z gardłem w pazurach interlokutora, który głucho warcząc, tłumaczył mi etykietę Drapieżnych i skutki, jakie pociąga używanie kija wobec niechętnego argumentom rozmówcy. Trzymałem się więc z dala od większych gałęzi i dysput naukowych. Poszedłem na miły spacer. Wróciłem. Alberto siedział w kucki na tle dogasającego już ognika i medytował.

– I co, pojął? – spytałem.

– Oczywiście, że nie – odparł mój kolega spokojnie. – Nie o to chodziło w tym ćwiczeniu. Patrz, ogień gaśnie.

Zaskoczył mnie tym skrótem myślowym.

– Gaśnie. No i co? – spytałem. – Przecież jutro znowu go rozpalą.

Mózg wyprawy chrząknął, sugerując moją ignorancję i banalnie jasną odpowiedź.

Miał rację. Nie dorzucili drewna. I nie rozpalili.

Rano Alberto popatrzył na mnie z wyżyn swojego intelektu.

– Idziemy dalej – zarządził. – Tu już nic ciekawego nie zobaczymy

– Dlaczego? – zapytałem. – Właściwie, co mieliśmy zobaczyć?

Westchnął.

– Wy naukowcy, to nic z życia nie rozumiecie. Ale to nic – parsknął. – Czego, a właściwie kogo, nie ma pośród naszych włochatych, radujących się pełnią życia kolegów?

Popatrzyłem na te włochate, zmierzwione łby. Na resztę kudłów, zasłaniającą na szczęście szczegóły ich anatomii. Na smętne sterty gałęzi chroniące ich przed deszczem. Pomyślałem o ich beztrójce i miłości do nieskomplikowanego rozwiązywania problemów za pomocą zębów i skrzywiłem się, obserwując sine i krwawe ślady dysput na temat praw własności.

– Masz rację – powiedziałem. – Nic tu po nas. Możemy co najwyżej zgłupieć.

Spytaliśmy pierwszego z brzegu zwierzołaka o drogę wyjścia. Machnął w nieokreślonym kierunku. Następny rozmówca machnął w przeciwnym kierunku. Nie miały chłopaki do tego głowy, oj nie. Pytaliśmy, gdzie mamy iść, co mamy zrobić i nic, zero odpowiedzi. Zwierzokształtni machali łbami, mądrzyli się, snuli opowieści, opowiadali o swoich przewagach łowieckich i innych, ale na nasze pytania nie potrafili odpowiedzieć. Nawet nie próbowali, to były nasze a nie ich problemy. Dopiero Alberto zdołał nas wyprowadzić spośród potworów. Zadał najprostsze pytanie:

– A step gdzie się kończy?

Wszyscy pokazali w jednym i tym samym kierunku. Jakiś młodzieniec uwielbiający zmieniać się w tygrysa zaproponował nawet, że nas tam zaprowadzi. Nie, nie z chęci pomocy, jak mógłby ktoś głupi podejrzewać. Chciał się po prostu popisać – kraniec stepu i rosnący tam las uchodził za miejsce groźne.

I był groźny. Kiedy tam dotarliśmy, z horyzontu nagle zniknął step. Nie było to jednak łagodne przejście równiny w las, znakomicie znane i zrozumiałe. Nie, zielona ściana wyrosła przed nami nieoczekiwanie i nagle. Widzieliśmy wprawdzie z daleka ciemny pasek będący zapowiedzią gigantycznej kniei, ale żaden z nas nie oczekiwał, że złośliwe drzewa utworzą klif z zielonego granitu. Las kołysał się szyderczo, raz z wiatrem, raz pod wiatr, a czasem w ogóle bez uzgadniania swego ruchu z pogodą. Popatrzyliśmy na siebie uczciwie – my wlepiliśmy wzrok w omszałe pnie, puszcza wytrzeszczyła swoje szpary w korze.

Wzajemne oględziny biegły powoli i bez specjalnych wydarzeń, aż do momentu, w którym jakiś starszy dąb poczuł potrzebę dokładniejszego oszacowania nas dwóch. Razem z kilkoma kolegami, pochylił się nad nami, nieomal zamykając nas pod liściastą arkadą. Alberto znalazł w sobie dość odwagi, żeby popatrzeć w górę, prosto w oceniające nas konary. Ja nadal patrzyłem wprost, uparcie ignorując wyczyny okolicznej flory. Wilkołak zniknął, pozostawiając po sobie poroztrącane trawy.

– Dziwne – mruknąłem do najbliższego otoczenia. – Jakież ruchliwe te drzewa.

– Mnie to już nie dziwi – odparł Alberto. – Całkiem logiczna kontynuacja.

Drzewa wycofały się, tygrysowaty wrócił, sytuacja wróciła do zwykłego poziomu nienormalności. Staliśmy tam razem z naszym ukochanym futrzakiem dwa tygodnie, czekając na pojawienie się ścieżki. Drzewa potrzebowały czasu na naradę. Zwierzołak bardzo sugestywnie odwodził nas od pomysłu przedzierania się przez knieję, twierdząc, że można tam spotkać straszliwe bestie. Jako, że była to opinia faceta zmieniającego się regularnie w stukilową, drapieżną maszynę do zabijania, miała ona swoją wagę. Postawiliśmy więc na rozsądek i poćwiczyliśmy intensywnie sposoby walki z nudą. Drapieżny przynosił od czasu do czasu mięso i namawiał do obżarstwa, ale my wciąż nie byliśmy głodni.

Decyzja zapadła nagle. Las zatrzeszczał, stęknął jak ciężarowiec pod sztangą, i pokazał nam ścieżkę. Popatrzyliśmy na siebie i kudłacza, zastanawiając się nad sensem wchodzenia w ten wąski kanion.

– Tak trzeba – wzruszył Drapieżny ramionami. – Pchajcie się w przód, a na pewno coś się wyjaśni.

– Owszem – odparłem. – Na przykład to, czy jesteśmy śmiertelni.

– Eee tam, jakbyście mieli zginąć, to sam bym was zeżarł – wyszczerzył się zwierzołak beztrzesko. Przełknęliśmy ślinę, nagle przerażeni. – Nic wam się nie stanie. Co najwyżej nieco wami potrząśnie.

Z tym potrząśnieniem to miał nasz kudłaty przewodnik dużo racji. Po zdawkowym pożegnaniu, kiedy Drapieżny zniknął już na horyzoncie, weszliśmy w las. Na dzień dobry puszcza pozbawiła nas słońca, a potem było coraz gorzej. Skazani zostaliśmy na słuch i węch, a jako dwóch mieszcuchów kochających alkohole i głośną muzykę, byliśmy pod tym względem mocno upośledzeni. Las wrzeszczał, wył, gwizdał, szeleścił, trzeszczał, tupał i robił wszystko, żeby tylko zapewnić nam rozrywkę w naszym nocnym marszu.

Przez pierwszy tydzień baliśmy się nieustannie i trzymaliśmy nocne warty, ale potem stało się kilka rzeczy. Po pierwsze, Alberto, oczywiście, zasnął na warcie i nic się nie stało. Po drugie, stanęliśmy oko w oko z bestią. Bydlę miało raptem dwa metry wysokości, ale szerokie było też na dwa, a długie na trzy. W dodatku nad oczami starczały mu dwa niezbyt długie, ale sugestywnie spiczaste rogi. Byłby więc to jakiś leśny kuzyn naszych łagodnych krów, tyle, że z przesłoniętych grzywką ślepiów wзираła mu złośliwość i chęć zabawy w berka chowanego. Byk pomachał do nas zapraszająco łbem, zatupał przednim kopytem, parsknął groźnie, a my rozpląszczyliśmy się na najbliższych drzewach, starając się wyglądać możliwie roślinnie. Zwierz wyraźnie był rozczarowany naszym brakiem chęci do zabawy, ale nie próbował zmniejszyć dystansu i zastosować bezpośredniej perswazji. Po prostu stał i machał różnymi częściami ciała, z których ja obserwowałem wyłącznie rogi. Alberto burknął coś brzydkiego po hiszpańsku, i zapytał:

– Pamiętasz, jak nas ten tygrys żegnał?

No tak. Najwyraźniej nasz immunitet działał dalej i chronił nas przed zakusami drapieżców i dowcipnisiów. Poszliśmy dalej, a ja, rozeźlony i zawstydzony moim przestraczem, na odchodnym pokazałem jeszcze złośliwej krowie parę sugestywnych gestów i posłałem parę komentarzy na temat kastracji. Chyba zrozumiał, bo zaryczał jak startujący odrzutowiec. Mam wrażenie, że obiecał mi randkę połączoną z dużą ilością wysiłku fizycznego.

Potem odezwał się do nas las. Kanał, który wiódł nas do tej pory rozszerzył się w polanę. Zrobiło się nawet nieco jaśniej, choć luksus dziennego światła wciąż jeszcze nie został nam przyznany. Weszliśmy jak idioci do utworzonego przez drzewa kręgu, tylko po to, żeby stracić drogę wyjścia. Drzewa zamknęły się dookoła nas.

Polana zaczęła oddychać. Z każdym wdechem jej średnica rosła, by nieznacznie maleć z wydechem. W pulsowaniu nie było jednak symetrii, choć przestrzeń dookoła nas nadal była idealnym kołem, to z każdym wdechem rozrastała się, zdawała się puchnąć, rozdymała się w rytm niewidzialnego, gigantycznego tętna lasu. A po każdym skurczu, kiedy zwiększała się w monstrialnym wdechu, z ziemi, z drzew i nieba wyrastały kręgi. Wszystko – grzyby, krzewy, mrowiska, kretowiska, gniazda, nory, owady – wszystko wykluwało się zgodnie z nadrzędnym rytmem przyrody i układało w równe obracające się miarowo trybiki. Kręgi pojawiały się i znikwały, zderzały się i szarpały swoje równe brzegi, unicestwiała się i wzrastały razem.

Przed naszymi oczyma rozwijał się gigantyczny, trójwymiarowy mechanizm. Rósł gwałtownie – niczym dąb z ziarenka, niczym kombinat z kęsa metalu, niczym człowiek ze zbitki komórek. Jego tryby, choć nadal zachowywały swoją pierwotną, kolistą formę, drgały, przemieszczały się, niszczyły, wspomagały i ignorowały, wiązały i odpychały, bez celu, bez sensu, tylko aby dalej krążyć.

Spojrzałem na najbliższą mi poszarpaną tarczę, na której krawędzi ptaki wzbijały się w górę, by tam stać się pokarmem innych ptaków, aby te, które przeżyły, połączyły swe kręgi z nieustannym ruchem drzew i krzewów, by wyprowadzić młode, by powiększyć swój tryb, a potem – aby w końcu spaść na ziemię, gdzie z obrzydliwą pracowitością wirowały i wzdymały się grzybnie, splatające swój los z roślinami, które dalej... nie, nie potrafiłem śledzić tego nieustannego spektaklu. W ciągu kilku minut zobaczyłem więcej żywych zwierząt i roślin, niż w całym moim dotychczasowym życiu i byłem przerażony.

Mimo wielu lat znajomości, a później przyjaźni, Alberto pozostawał dla mnie nadal tajemnicą, a jego odruchy były tak samo nieprzewidywalne, jak lata temu. Tym razem postanowił zignorować spektakl i wlaź twardo, zdecydowanie w środek maszynerii. Niestety, darmowe obiady skończyły się, nasz immunitet wyparował jako rosa o poranku. Zabłąkany strumień mrówek oblaźł mojego towarzysza i, kłusując zajadle, zmusił do powrotu na nasz prywatny skrawek gruntu. Ledwo Alberto stanął obok mnie, mrówki wróciły do swej nieustannej walki.

– Hm – mruknął. I wlaź znowu. Patrzyłem przerażony, jak cofa się przed dwoma mocno podenerwowanymi krukami.

– Dziwne – skomentował, patrząc na gojące się szybko rany od dzioba. – Nie rozumiem. Tu jesteśmy bezpieczni, a tam nie. Wycofać się nie możemy, musimy przejść, tylko nie wiemy jak.

Zassało mnie w żołądku. Jeżeli Alberto nie miał pomysłu, to nasze szanse malały. Nie miałem złudzeń co do tego, kto był myślakiem pierwsza klasa w naszym związku.

Obok nas pojawiły się nagle świny z włosiem (skąd oni to wytrzasnęli, pierwszy raz coś takiego w życiu widziałem), zakręciły się, zatoczyły i wypadły na moment z krwiobiegu. Zdezorientowane chrząknęły i ruszyły w naszym kierunku. Wrzasnąłem i zasymulowałem kopnięcie. Wielki, śmierdzący zwierz odskoczył, patrząc na mnie podejrzliwie swoimi małymi, złośliwymi oczkami. Zaryczałem dziko jeszcze raz i, zdesperowany, ruszyłem na niego, wrzeszcząc przeraźliwie.

Uciekł. Nie zdeptał mnie, nie przerobił na martwy nawóz, po prostu czmychnął, pokazując mi swój ogon. Za nim pomknęła reszta towarzystwa. Rozdygotany i zaskoczony, pognałem za nimi, nadal dziko krzyżąc i machając rękami. Galopowałem tak, aż zorientowałem się, że jestem w środku maszynerii. Stałem bezradnie, opuściłem ręce i, wypełniony po brzegi paniką, myślałem jedynie o tym, co zaraz ze mną zrobi oszalały wir życia.

Nie wiem, jak by się to skończyło, ale nadbiegł Alberto, wrzeszcząc i machając rękami. Dobiegł do mnie i krzyknął:

– Ruszaj rękami, nogami, czymkolwiek możesz! I krzycz, krzycz dużo, to je odpędza!

Zastosowałem się z rozkoszą. Nie dość, że pojawiła się szansa na umknięcie z łap rozszalałej przyrody, to jeszcze mogłem wyrazić targające mną uczucia. Ruszyliśmy do przodu, torując sobie drogę głosem i ruchem. Nie mogliśmy ocenić, jak długa droga nas czekała, żywa maszyna przesłaniała nam widok, a niewielka z początku polana zdołała rozrosnąć się do nieokreślonych rozmiarów. Nie wiedzieliśmy nawet, czy poruszamy się we właściwym kierunku, zbyt byliśmy skoncentrowani utrzymaniem dookoła nas ochronnego bąbla.

Alberto zaczął, oczywiście, eksperymentować. Czasem myślę, że sensem jego życia jest wyprowadzanie mnie z równowagi. Najpierw ściszył głos, zaczął coś nucić, a i rękami machał mniej wydajnie, w ogóle nie przypominał jedyne go słusznego w obecnej sytuacji kształtu – wiatraka. Wystraszył mnie, czułem się jak postawiony przed rozjeżdżonym samochodem. Wyzwałem lenia.

– Myśl – odśpiewał. – Jesteśmy odporni na zmęczenie, owszem, ale długo tak nie wytrzymamy. Oszczędzaj się, widzisz, że na razie nas nie próbują zjeść.

Zwolniłem nieco, postarałem się uczynić moje paniczne do tej pory ruchy bardziej skromnymi, rytmicznymi. Śpiew okazał się być równie skuteczny co oszalały wrzask, a był dużo mniej męczący.

Tańczyliśmy i śpiewaliśmy, przypominaliśmy sobie wszystkie piosenki i ruchy z telewizji, a kiedy skończyło nam się natchnienie, zaczęliśmy przedrzeźniać otaczające nas zwierzęta. Słońce, którego wschodu, zajęci układaniem choreografii, nie zauważyliśmy, zaszło, ale przyroda bynajmniej nie poszła na nocny spoczynek. Nadal musieliśmy zarabiać sztuką na nasze przejście, dopingowani łyskającymi w mroku zielonkawymi ślepiami i pohukiwaniem sów.

Minęły jeszcze dwa dni. Mieliśmy jeszcze czas, ale ja zaczynałem się niepokoić. Już, już chciałem znów spanikować, gdy las postanowił się nad nami zlitować i wypuścił nas ze swojej maszynerii. Stanęliśmy przed zieloną ścianą i wyciętą w niej niewielką ścieżką.

– Idziemy dalej? – spytałem, nieco niechętny drzewom i wszystkiemu, co mogło się za nimi kryć.

– A co, masz ochotę jeszcze potańczyć? – skontrolował Alberto. – Czy raczej tęsknisz za śpiewem?

– Fałszujesz, zazdrośniku – odpowiedziałem.

– A ty zmyślasz teksty – odparł.

– Skoro nam obu brak talentu, to idziemy dalej – zdecydowałem.

Nie obejrzelśmy się, nie chcieliśmy patrzeć, czy mechanizm kręci się nadal, czy też zniknął tak gwałtownie jak się pojawił. Weszliśmy w las.

* * *

Następna polana bez wyjścia.

– No i czego on teraz chce? – spytałem retorycznie. Skąpo nas obdarowywano odpowiedziami, więc nie liczyłem specjalnie na to, że zagadkę naszego następnego postoju ktoś nam poda na tacy.

– Ofiary – parsknął ktoś z tyłu.

Obaj obróciliśmy się, szybko, ale bez gwałtowności. Rosło nasze zaufanie do opieki, jaką otaczała nas wyspa. Nie wiadomo jaki, ale sens był, zawsze było wyjście.

Nasz rozmówca przystojny był, po szatańsku czarnowłosy i bladolicy. Szczupły, zasuszony wręcz, sprężysty, mógłby taśmowo łamać kobiece serca, gdyby nie oczy – niczym pozioma kropla, jednolite i błyszczące. Dwa małe różki na skroniach też nie poprawiały mu aparycji. Niespecjalnie go polubiliśmy – od pierwszego wejrzenia, zdawał się roztaczać arogancję, kiedy tak na nas patrzył z góry, z rękami pod pachami i w pozycji na "spocznij".

– Się nie przezywaj rogaczu – odparsknąłem. – Cwaniak mieszka tu od lat i z przybyszy się naśmiewa.

– Las chce ofiary, głupcy – odparł zimno piękniś.

Popatrzyliśmy na siebie zdumieni.

– Że co? – spytałem. – Może jeszcze krwawej?

– Tylko taka będzie cokolwiek znaczyć – odpowiedział. – Idźcie i zabijajcie, dobrzy w tym jesteście.

Atmosfera na polanie wypełniła się parującym ze mnie testosteronem.

– A może tak ciebie złożę w ofierze, co? – spytałem, zakasując rękawy. – Zaraz zobaczymy, jak ci ładnie z nosa potrafi lecieć – warczałem, nabierając rozpędu.

Bydlak. Odleciał sobie na najbliższą gałąź, motylek jeden. Przerwał w najciekawszym momencie. Nawet mi nic nie zrobił, przez co nie mogłem się poużalać, a gniew kipiał. Kopnąłem najbliższe drzewo.

– Nieźle, jak na początek – zauważył. – Tylko jeszcze dopadnij jakieś zwierzę.

Las rozluźnił nieco swoje szyki i mogliśmy – nie, mieliśmy – z powrotem zanurzyć się między drzewa. Nie paliłem się jednak do tej wyprawy i tego zadania. Alberto też – podjął więc negocjacje.

– Pomożesz nam coś złapać? – spytał.

Diabelsko pięknym nieznajomym zatrzęsło ze zgrozy.

– To, że was toleruję i pouczam, śmierdziele, to mus – zazgrzytał zza zaciśniętych zębów. – Ale nie będę się profanował waszymi prymitywnymi obyczajami. Zakonotujcie sobie, że jestem tu jedynie cichym głosem podpowiedzi, a mojego ciała tu nie ma.

– Lepszy świr – stwierdził Alberto. – To już chyba wolałem Drapieżnych.

– Wcale się nie dziwię – syknął nasz instruktor. – Bardzoście podobni, mordercy.

– A twoja rasa, jej mać, jak się nazywa? – wtrąciłem obelżywie.

W odpowiedzi szatanek machnął ręką i popukał mną w najbliższe drzewo. Na szczęście przytomny duchem Alberto chwycił mnie za nogę i zatrzymał w locie, bo rogaty miał ochotę zedrzeć mną korę z paru dębczaków.

– Odwał się – zaproponował Alberto.

– Z przyjemnością, wy... – przez chwilę myślał nad obelgą – Wy ludzie!

– A wy niby co? – spytał Alberto. – Marsjanie?

– Świetliści – odparł z dumą nasz rozmówca. – Wasi starsi i mądrzejsi przodkowie, wy zwierzęta niemyte.

Nauczony doświadczeniem nie wrywałem się do niego z łapami. Alberto wzruszył ramionami.

– Jak taki mądry i mocny, to czemu on jest tu, a my na zewnątrz? – zastanowił się. – Na niego musi być sposób...

Oczy mi zabłyszczały. Rozmarzyłem się, czując przez chwilę w mej dłoni ciężar dobrego karabinu na przystojnych latających. Alberto, technik jeden, medytował nad prostym miotaczem. Świetlisty stwierdził, że woli nie pozostawać w naszym sąsiedztwie i odleciał. Alberto wziął w dłoń śpiesznie skonstruowaną procę i filozoficznie stwierdził, że może się przyda, a teraz czas na łów. Nolens volens, poszedłem za moim mądrzejszym kolegą.

– Ty, po co mamy składać ofiary? – spytałem. – Mów, mów, ty coś z tego chyba rozumiesz.

– Szczerze mówiąc, to po prostu wykonuję zadania – odpowiedział. – Cieszę się odpoczynkiem i rozrywką.

Popatrzyłem ze zgrozą.

– Rozrywką? – zawyłem, acz dyskretnie – Jaką rozrywką?

– Nie marudź – uśmiechnął się. – Owszem, czasem musimy pomyśleć i się wysilić, ale tak z ręką na sercu, czy choć raz było naprawdę niebezpiecznie? Ciesz się przygodą, molu książkowy.

– I to, teraz, ta... ofiara – wycedziłem z obrzydzeniem. – To też rozrywka?

– Zobaczymy. Są tacy, którzy to lubią. Może i nam się uda?

Nie polubiliśmy łowów i nie będę wchodził w szczegółowe tłumaczenia, dlaczego. Było po prostu długie, trudne, męczące i straszne. Najpierw musieliśmy znaleźć zwierzę, które moglibyśmy zabić. Szło ciężko, potencjalne ofiary nie wchodziły nam w ręce, bały się człowieka, jak wszystko, co żywe i chce żyć. Potem musieliśmy je dopaść i zabić. I chociaż wykorzystaliśmy w tym celu nasze wyspecjalizowane mózgi i chwytne dłonie, to zajęło nam to wiele czasu, tak wiele, że dwa razy zdążyliśmy się zmęczyć. Ale na koniec, kiedy już zabiliśmy, musieliśmy do niego podejść i je podnieść.

Staliśmy z tym strzępem martwej materii w rękach i patrzyliśmy na siebie, czując się głupio i bezsilnie, a wtedy las rozsunał się i spośród drzew wyszło kilku piękniśków. I ona.

Na polanę zstąpiło wcielenie marzeń mężczyzn od lat siedmiu do stu siedemnastu. Nie pytajcie o szczegóły, o kolor włosów i oczu, o figurę, czy inne bzdury mające decydować o kobiecej urodzie. Nie miałem czasu na przyglądanie się. Stałem tylko zachwycony.

Wzór kobiecości i wdzięku wszedł na polanę. Jej ruch wyrwał nam z piersi głębokie westchnięcie i odebrał tlen naszym płucem. Ja się zarumieniłem, Alberto zbladł. Kiedy ruszyła w naszym kierunku, klęknąłem, nieświadomie, bez zastanowienia, wiedziony czią. Alberto, natomiast, zareagował tradycyjnie, to znaczy ruszył do boju.

Piękność wylała na nas obu kubeł wody. Warknęła, coś paskudnego chyba, ale anielskie chóry brzmiące w tembrze jej głosu skutecznie odebrały nam zdolność rozumienia mowy. Wrzasnęła. Krzyk walnął nas w bębenki niczym artyleryjski granat, zwałił Alberto z nóg a mnie przed oczami postawił gustowny, czerwony szlaczek. Otrzeźwieliśmy. Nieco.

– Opamiętajcie się, dzikusy – zrugła nas kobieta idealna. – Rzućcie te wasze... ofiary – wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

– Jakie nasze!?! – zaciętrzewiłem się, choć martwe ochłapy cisnąłem gdzie pokazano – To on, tam, nam kazał – pokazałem na stojącego skromnie z boku przystojniaczka

– Las wam kazał – odparł oskarżony. – Nie my. I nie musieliście słuchać.

– Nie? – ryknąłem, rozjuszony obłudą diabłego pomiotu. – A jak mieliśmy niby przejść przez te drzewa?

– Nie wiem – odpowiedział, spokojny i stoicki na swoim Evereście wyższości moralnej. – Ale nawet nie próbowaliście.

Miał mnie. Zamknąłem się, zbity z tropu. Naprawdę byliśmy tacy krwiożerczy?

Piękność skorzystała z okazji i zaśpiewała. Pieśń była rytmem, piękna Świetlista powtarzała nieustannie jedną i tą samą frazę, z jednakowym akcentem, tym samym tonem.

– Nie można mieć wszystkich zalet – zachichotałem do Alberta. – Śpiewamy lepiej.

Alberto, zniecierpliwiony machnął na mnie ręką.

– Nie przeszkadzaj – szepnął. – Tu się coś kroi.

Miał rację, jak zwykle. Las zaczął tętnić w rytm monotonnego zaśpiewu, drzewa zaczynały znowu pulsować, a pieśń nabrała nowych tonów. Rosła, zachowywała wszystkie swoje tony, a jednocześnie potężniała, wplatała w siebie coraz to nowe melodie i harmonie, coraz mniej zdawało się prawdopodobne, że tą symfonią kieruje jedna niewielka kobieta.

Jej śpiew był cudem, cudem było też zachowanie lasu, który, posłuszny nałożonym przez muzykę prawom rozwijał przed Świetlistą swoje kręgi. Spektakl, przed którym musieliśmy uciekać, rozwijał się przed nami znowu, maszyna wyłaniała się z nieba i ziemi, lecz nie był to już ten sam chaotyczny i nieopanowany mechanizm. Nie, kręgi zdawały się płynąć ku śpiewającej, zdawały się reagować na jej słowa, ich ruch był... wymuszony. Naturalny nieporządek poddawał się woli i myśli, wypełniał polecenie rozumnej istoty.

Świetlista nakazywała swoim głosem posłuszeństwo, ale była w jej śpiewie również nuta błagania i przeprosin. To nie były nasze marne podrygi – jej taniec, chwile, w których załamywała ręce i klękała, jej płynne i odmierzone gesty były częścią powstającej maszyny, coraz trudniej było odróżnić ją od porastających ją coraz gęściej kręgów.

A potem do akcji wkroczyli mężczyźni i zaczęli wrywać z kręgu oszołomione zwierzęta i usypiać je słowem. Rośliny wyslizgiwały się z ziemi, aby wejść im w dłonie, drzewa rozszczepiały się na ich znak i rozpadały w równe elementy, przyroda służyła im wszystkim, co miała. Poruszali się mechanicznie, sztywnymi, odmierzonymi ruchami. Kiedy jeden z nich potknął się i przechylił, cała reszta zamarła i czekała, aż niezdarny profan odejdzie.

W końcu wybrali to, co było im potrzebne, a kobieta przestała śpiewać. Kręgi odeszły. Gdzieś zniknęły również nasze ofiary.

– Weźcie, to wasze – szepnęła królowa naszych snów, wyczerpana, na kolanach. Zmęczonym gestem pokazała nam część wybranych przez jej towarzyszy przedmiotów. Jej urok nieco przybladł – nadal piękna, ale mogłem patrzeć na jej szczupłe i drobne ciało bez gwałtownego bicia serca.

– Nie, nie trzeba – wzbraniałem się. Wolałbym zjeść na surowo ofiary naszych łowów, otwartych i uczciwych, niż wziąć w rękę efekty tego monstrialnego oszustwa.

– Bierzcie i już – tupnęła wściekle. – To wasze, wasza zapłata, za ofiarę, za to, że zabiliście! Zawsze braliście i weźmiecie i teraz! Natychmiast!

Jej głos był coraz ostrzejszy, coraz groźniejszy.

– Bierzemy i zmykamy – zakomenderował Alberto. – Biegiem!

Las wypłuł nasze dwie wymiętoszone postaci na rzadką i zmarzniętą trawkę. Wyrzuciłem swoje łupy, otrząsałem się. Alberto zrobił to samo.

– Dziwni byli – skomentowałem.

Alberto nic nie mówił. Myślał.

– Zauważyłeś, jacy byli szczupli? – spytał.

– Nie – odparłem szczerze. – Co teraz?

– Idziemy – zdecydował. – Do przodu. Coś musi się zdarzyć.

Zdarzyli się następni mieszkańcy wyspy. Zupełnie nie byli piękni. Niscy, krępi, ramiona i uda mieli niczym sękaty pnie, nabrzmięte guzami i przeplecione grubymi żyłami. Twarze mieli ciężko ciosane, pozbawione naszych kantów, toporne i groźne. Ubierali się skąpo, choć byliśmy w tundrze i, czysto teoretycznie, powinno być im zimno. My, rzecz jasna, nie mieliśmy pojęcia, jaka jest rzeczywista temperatura. Potężny, zubożniający urok trwał nadal.

– Neandertalczyki – zidentyfikowałem napotkanych humanoidów. – Jeszcze ich tu brakowało.

Usiedli dookoła nas i zaczęli nucić. Jeden z nich, starszy, wódz najwidoczniej, wstał, podszedł i położył przed nami kilka barwionych plecionek.

– Było nie wyrzucać naszego udziału w rytuale – warknął Alberto półgębkiem. – Co my mu teraz damy?

Zdjąłem ubranie. Rzuciłem swój podkoszulek neandertalczykowi, kłaniając się przy tym dostojnie. Powtórzył mój gest. Skończyły mi się genialne pomysły, błagalnie popatrzyłem na Alberta. Jego mina wyraźnie mówiła "jak zacząłeś, to kończ". Uratował mnie zachód Słońca. Nasi towarzysze pochylili się, niektórzy uklękli i zaczęli śpiewać. I już wiedziałem, że, pomimo ich zniekształconych twarzy, jesteśmy krewnymi.

Tak rozpoczęła się nasza wędrówka. Przebywaliśmy z nimi długo, chyba dłużej niż z wszystkimi innymi, chociaż żaden z neandertalczyków nie mówił. A może dlatego? Zbieraliśmy razem korzonki, pletliśmy maty i ubrania, nauczyliśmy się nawet lepić garnki. Dzień mijał powoli za dniem, a my z pasją rozwiązywaliśmy zagadki codziennego życia, uczyliśmy się, co można zjeść, a czego lepiej nie tykać, rozpalaliśmy co wieczór ogień i ogrzewaliśmy się w rodzinnym ciepłe naszych pobratymców. Powoli zaczynałem rozumieć, skąd na świecie biorą się fani survivalu. A potem wszystko się skończyło.

Założyliśmy obóz, braliśmy się właśnie za ogień, kiedy między naszych wpadł drapieżnik. Zwierzę było olbrzymie, zdawało się być rozpędzonym samochodem gnającym ku zderzeniu. Zrozumiałem dawne filmy, poczułem się jak mój dziadek, którego miał właśnie zmiażdżyć bezduszny mechanizm, ślepy na wszelkie przewagi duchowości i człowieczeństwa. Tygrys ominął nas jednak i potężnym skokiem powalił na ziemię stojącą niedaleko nas kobietę. Sprawnie zmiażdżył jej kark i ryknął na uciekających neandertalczyków, jak gdyby nakazywał im szybką ucieczkę.

Nasi krewniacy nie stawili mu czoła. Uciekali jedynie, osłaniali się swoimi tarczami i plecionkami, kryli się i przyjmowali obronne pozy. Żaden – żaden! – nie chwycił swojego kija w obronie, żaden nie rzucił kamieniem, po prostu uciekali, jak lepiej zorganizowane stado owiec.

– Co wy! – wrzasnąłem. – Jak to! No jak!?

Podbiegłem, zabrałem jednemu kij i ruszyłem z krzykiem okładać bestię. Tygrys wyrwał mi kij i odepchnął łapą. Zacząłem rzucać kamieniami, wyć, kopać go – wszystko, byle nie dopuścić do tego, by mógł w spokoju zjeść człowieka.

Uciekł, zdeglustowany. Wygrałem. Nie żyła, ale mogła być pochowana, nie musiała stać się mięsem. Grób musieliśmy jednak wykopać we dwóch – neandertalczyki trzymali się od nas z dala, niechętni. Zburzyliśmy nasze wątpliwe porozumienie, doszliśmy do granicy, której nie mogliśmy przekroczyć.

Wódz podszedł i pokazał ręką. Nie musiał nic tłumaczyć i pokazywać, czuliśmy wyrosłą między nami barierę. Znow widziałem ich inność, ich krępe, brzydkie kształty, znow byli neandertalczykami. Odeszliśmy.

* * *

Przed nami ukazały się góry. Jak wszystko na tej wyspie, postanowiły wziąć udział w grze "Kto zaszokuje człowieka?" i wylazły na horyzont zniecka. Po prostu wyskoczyły niczym zajac z trawy.

Kilkukilometrowy zajac z nieistniejącej trawy, żeby być ściślejzym. Spojrzeliśmy na moment do tyłu, a kiedy odwróciliśmy się, gigantyczne szpice wbijały się już dumnie w szare niebo, porażając oczy swoją nieskazitelną bielą. Przed nami widniał zupełnie nieznaną krajobraz.

– Alberto? – spytałem. – Czy góry nie powinny być białe na szczytach, a nieco szarawe u dołu?

– Nawet zielone – potwierdził mój partner. – Znowu bawili się klimatem.

– Kto, niby? Wędrowcy? – zapytałem, zaskoczony tym aktem wiary w nieznaną umysł, wiodący nas po wyspie.

Alberto wzruszył jednak ramionami. Miał swoje przecucia i nie umiał ich wyjaśnić. Po prostu wiedział, szczęściarz jeden.

Góry były bliżej, niż nam się wydawało. Nie miało to znaczenia – nadal nie było nam zimno, a i głód omijał nas szerokim łukiem. Świat zewnętrzny też pewnie uznał, że przenieśliśmy się do krainy szczęśliwych historyków, gdzie każdy ma wszystkie dokumenty, prócz najważniejszego i można kłócić się do końca wieczności. Mieliśmy czas aż do nieskończoności, choć miałem nadzieję, że nie jesteśmy skazani na tak długie wojaże.

Weszliśmy więc na górę, bo i czemu nie? Jak należało oczekiwać, ktoś nas powitał. Tym razem stwór był duży, kosmaty, szarobiały i mocno śmierdzący. Z oczu patrzyło mu... hm, w zasadzie nic mu nie patrzyło, był zupełnie nieczytelny.

– Yeti – mruknąłem zblazowany. – Mogliby wymyślić coś bardziej nieoczekiwanego.

– I nie ma maczugi – odparł Alberto. – Powinien mieć jakąś pałę, to mu pasuje do oblicza.

Włochacz ryknął z mocą spadającej lawiny.

– Masz mnie za małpoluda?! – zapytał grzmiącym basem. Zaprezentował całkiem solidne zęby, ale po kłach Drapieżnych niewiele mogło nas wzruszyć.

– Nędzny epigon – parsknąłem pogardliwie. – Może jeszcze machniesz ręką i sprowadzisz lawinę, albo co?

Faktycznie, sprowadził. Ładna była, taka biała i miazdząca. Nawet całkiem niedaleko przeszła, mogliśmy poczuć wywołany nią podmuch.

Poczucia humoru to on raczej nie miał na wyposażeniu.

– Dobra, koleś – Alberto też miał dość. – Zrób coś oryginalnego i wyjaśnij nam, co my tu właściwie robimy.

– Albo lepiej – zaproponowałem. – Powiedz nam, jak stąd wyjść. Będziemy pod wrażeniem, obiecuję.

Śmierdziel porozmawiał ze swoim futrem.

– Ja was, Młodzi, nie rozumiem – westchnął.

Jego zbaraniała mina wpędziła nas w nagłą, niepohamowaną histerię. Zaczęliśmy ryczeć ze śmiechu. Alberto położył się na plecach i walił bezsilnie ramionami dookoła siebie, podnosząc chmury białego

puchu. Ja byłem nieco bardziej powściągliwy. Ukłękłem jedynie i trzymałem się za brzuch, starając się nie podrygiwać zbyt mocno.

Yeti miał coraz bardziej zdziwiony ryj. Futro, mocno podbite tłuszczem zwijało mu się w wałeczki. Głównie na głowie, ale reszta ciała, też uczestniczyła w myśleniu.

– Rozumiem – powiedział zadumany. – To ten, no, śmiech?

Odpowiedzią był oczywiście ten, no, śmiech tylko dużo głośniejszy i pełen entuzjazmu.

– No dobra. Wiem, po co tu jesteście i jak stąd wyjść – powiedział.

Umilkliśmy.

– Poważnie? – spytałem, nie wierząc własnym uszom.

– Muszę się was w końcu pozbyć – powiedział. – Demolujecie całą wyspę.

– Hola, hola, ziomek – wrzasnąłem. – Daj nam tylko szansę, zobaczysz jak szybko damy dyla!

– W porządku. Chodźcie ze mną – machnął owłosionym słupem telegraficznym, który wyglądał jak jego ręka. Posłuchaliśmy, i poszliśmy jak niewinne Czerwone Kapturki za wilkiem.

Poprowadził nas do jaskini, wielkiej i chłodnej, przestronnej niczym średniowieczna katedra. Wprowadził nas między skały, między kamienne słupy i skalne nawisy, powiódł w trzewia góry, głęboko, bez powrotu. Kiedy tylko opuściło nas światło dnia, kiedy zacząłem rozglądać się za kołdrą, która mogłaby mnie oddzielić od ciemności, w łapie naszego przewodnika pojawił się lśniący niebiesko klejnot, gigantyczny diament, który miał pokazać nam naszą drogę.

Wkrótce światło, za pomocą którego yeti nie pozwalał nam zginąć, nie było nam już potrzebne. Skały dookoła nas zaczęły świecić, na początku delikatnie, na skraju złudzenia, potem mocniej, silniej, niczym rozgrzewające się z wolna uliczne lampy. Tunel, którym szliśmy napełniał się bursztynowym blaskiem, stawało się coraz jaśniej, aż zobaczyliśmy rysunki, nakreślone dłońmi, których właściciele dawno nie żyli, a mimo to znajome w swojej nieporadnej – nie, niezrozumiałej formie. To była Altamira, to było Lascaux, to była nasza przeszłość, to były te fundamenty, z których miały wyrosnąć wszystkie nasze obrazy i rzeźby. Zналиśmy te kreski, które miały być ludźmi i zwierzętami, znajdowaliśmy wspólny język z tym, który uwiecznił na skale swoje życie. Do czasu.

Nagle, na jednym ze skalnych obrazów, wśród ludzi, którzy tańcem czcili udane łowy i radośnie podsycali wielki ogień w środku swojej osady, pojawiło się kilku Drapieźnych. Gdyby nie wyspa, uznałbym ich za duchy, za nieporadne wizje artysty, za obraz tworzących się dopiero w ludzkim umyśle prabogów. Ale teraz wiedziałem – to nie były żadne duchy natury, to byli nasi nieopanowani i morderczy w swoich odruchach pobratymcy.

– Co to...? – zacząłem pytać zdziwiony.

– Poczekaj – mruknął kudłaty. – Będzie jeszcze lepiej.

Zobaczyliśmy góry, naszkicowane schematycznie skalne wierzchołki, u których podnóża bez wątplenia stał yeti, bliźniak niemalże naszego przewodnika. Za nim stał grupka ludzi, z włóczniami i wypchanymi tobołkami w rękach patrzyli na otwierające się przed nimi równiny. Kilku klęczało twarzą do gór – palili ogień i wrzucali do niego swoje ozdoby.

Zobaczyliśmy lasy, w których ludzie i Świetliści składali ofiary, w których budzili wspólnie do życia kręgi życia i w skomplikowanym tańcu włączali się w ich rytm. Widzieliśmy jak razem, Świetliści i nasi przodkowie, wynoszą z lasu martwe zwierzęta, naręcza drewna, stopy rogu i kości. Widzieliśmy podział i odejście naszych krewnych – czarodziejów do ich lasu.

Zobaczyliśmy równinę, po której szły dwie grupy, jedna ludzka, druga pełna neandertalczyków. Widzieliśmy ich spotkanie, widzieliśmy, jak wymieniają się narzędziami i pożywieniem, jak dzielą się informacjami, szkicując drogi na ziemi. Widzieliśmy, jak oba obce sobie plemiona wspólnie czczą zachód Słońca i szczęśliwe spotkanie pobratymców na wielkiej pustce stepu.

Zobaczyliśmy też nieprzeniknioną dżunglę, w której razem mieszkali małpoludy. Spotykaliśmy się i tam, bez entuzjazmu, ale bez agresji. Obie grupy obwąchiwały się, znajdowały wspólne gesty i rozchodziły się w pokoju do swoich siedzib. Nasi przodkowie, pierwsi z rozumnych hominidów, byli już nam zbyt odlegli, aby to spotkanie mogło stać się wspólną uroczystością braci, którzy się odnaleźli.

A potem wszyscy zaczęli znikać. W naszej wędrówce w głąb historii była symetria. Ci, których zobaczyliśmy jako ostatnich, odeszli pierwsi. Zniknęły małpoludy, neandertalczyki poszli za nimi, a na końcu odeszli znad naszych ognisk Drapieźni. Zostali tylko nasi przodkowie, obwieszani bronią i narzędziami, odziani w skóry, sformowani w karne grupy, najpotężniejsi i jedyni.

– Wszyscy sobie poszli – skomentowałem. – Ciekawe czemu?

– Nic nie rozumiecie – stwierdził misiek, z zadumą w głosie. – Patrzycie i nie widzicie. Wspominacie, a nie pamiętacie. Cóż, pewnie też wolałbym zapomnieć. Wszyscy, ale to wszyscy – my, Leniwi, Drapieźni, Łagodni – wszyscy uciekliśmy, bo wymordowaliście nas tyłu, że nie mieliśmy już szans na przetrwanie.

Leniwi? Małpoludy pracą nie grzeszyły, niech będzie, ale ci drudzy?

– Jacy Łagodni? – spytałem.

– Ci, którzy się nie bronią i nie zabijają – odpowiedział krótko. – Ja, ja nie mam do was żalu, choć zginęło tak wielu moich – ciągnął. – Musieli zginąć, tak, czy owak, nie ma nad czym płakać. Łagodnych mogliśmy we trzech wszyscy zadusić, a tylko by uciekali.

– Ale, gdyby nie nakazy Wędrowców, nie przeżylibyście dnia u Drapieźnych, a Świetliści przerobili by was na mielonkę w swoich rytuałach – dodał beznamiętnie.

– Na ścianach tego nie było – zaprotestowałem słabo. – Po prostu odeszli...

Alberto mruknął.

– A koniecznie chcesz to zobaczyć? – spytał. – Jak pracowicie wyrzynamy w podzięce krewniaków?

– Chcę – zaparłem się, pełen niedowierzania.

– Zawsze chcecie – skomentował yeti. I poprowadził nas do tamtych rysunków, do naszej skrzętnie zapomnianej przeszłości.

* * *

Przeszliśmy całą drogę, aż do końca. Byłem chory z przerażenia i obrzydzenia. Rysunki były realne, aż nadto i żadne, najkrwawsze i najdramatyczniejsze nawet widoki z telewizji nie przygotowały mnie na to masowe zabijanie. Nasi przodkowie, niech ich cholera, mieli talent do wywierania wpływu na widzów, równie wielki, jak do zabijania wszystkiego dookoła.

Yeti obrócił się.

– Młodszy bracia – powiedział, patrząc na nas swoimi nieruchomymi oczkami bez wyrazu. – Bez magii. Bez pazurów i kłów. Słabi, chorowici, obcy naturze. Wspierani i wychuchani przez nas wszystkich. I oto, o ironio losu, ja, mędrzec, myśliciel, ja, który rozumiem ten świat i jego oddech lepiej, niż wy kiedykolwiek go zrozumiecie, ja muszę prosić was o ochronę przed wami samymi.

– Ochronę – stwierdził Alberto. – Krzyże?

– Nie. To musi być coś nowego – wyjaśnił. – Zmiana, ta wasza bogini, zmusza nas do odnawiania naszej kurtyny. Krzyże to ślad z dawnych czasów, kiedy przyplądali tu prości rybacy na drewnianych łodziach, a ja jeszcze trochę rozumiałem, jak działają wasze umysły. Śmierć i groza mogły was odstraszyć dawno temu. Teraz...

Odetchnął głęboko.

– Teraz nie mam najmniejszego pojęcia, czym się staliście i co wami kieruje.

Nadałem się wewnętrznie. Nasz mądrała w końcu przyznawał się do niewiedzy. Alberto natychmiast przyuważył blask moich oczu i szturchnął mnie ostro.

– Nie ma się z czego cieszyć – szepnął. – To oznacza, że misiek nic nam nie pomoże.

– A co założyli na wyspę ci przed nami? – spytałem.

– Pierwsi nic, nie umieli i zawiedli – odpowiedział yeti.

Nagle przed moimi oczyma stanęły rozdarte pokłady sześciu niszczycieli.

– Zawiedli? – spytałem cicho.

– Bez sensu – skomentował Alberto – Wystarczyło ich pokierować gdzieś daleko.

– Nie – odparł yeti. – Weszli już na wyspę. Kiedy zmieniacie się, wyspa otwiera się na wasz świat i łowi. Kto zawiedzie – nie wraca. Nie możemy ryzykować, że się o nas dowiecie.

– Ale Billa z kumplami wypuściliście – skontrowałem.

– Wyspa wypuściła. Pamiętaj, to ona tu rządzi. – odpowiedział yeti, niewzruszony moimi zarzutami. Nawet obdarzyła ich powodzeniem i długim życiem. Ale warunek był jeden – jeśli ktoś poza nimi trzema dowie się o wyspie – muszą umrzeć.

Przełknąłem ślinę.

– Tak, was też to obowiązuje. – Misiek potwierdził moje lęki.

Przyszłość była coraz czarniejsza. Mieliśmy COŚ zbudować i wtedy, ewentualnie, moglibyśmy wrócić. A potem – długie oczekiwanie na następnego ciekawskiego.

– A jaką pieczęć założył na waszą wyspę Bill? – spytał Alberto, mój stoik kochany.

– Kto? – zdziwił się yeti.

– Ci trzej, co nie zawiedli – uściślił Alberto.

– Tę samicę z młodymi.

– Co?!

– Jak przyjechali, to jej nie było, jak wyjechali, to już była – odpowiedział kudłaty. Przysięgnębym, że jego nieruchomą gębę wykrzywił grymas zdziwienia.

– To ma na pewno coś wspólnego z tą waszą zwichrowaną seksualnością – dodał. – Nic, tylko byście płodzili. Albo przynajmniej próbowali się rozmnożyć.

Popatrzyłem na Alberto oskarżycielsko:

– Ty tu już byłeś, przyznaj się – parsknąłem.

Mój kolega nie skomentował swojej słabości, stawiającej go pośród typowych członków naszego gatunku. Zgrabnie zmienił temat. Ależ ja mu zazdroszczę tej inteligencji!

– A wy się nie rozmnażaliście? – spytał.

– Nie tak szybko – odpowiedział. – Spotykamy się rzadko... – urwał.

– Mała potencja? – zachichotałem – No, przyznaj się, jak długo już jesteś w celibacie?

– Długo. Tysiące lat – odpowiedział. Znów wrócił do siebie, do swojego zimnego jak lód spokoju. – Jak prawie wszyscy na wyspie.

– Oni wszyscy pauzują sto tysięcy lat? – parsknąłem. – Jaja sobie robisz. Nie przesadzaj z tymi cudami, bo to się robi nużące.

– Wyspa utrwala – odpowiedział. – Nie starzejesz się, chyba, że z wyboru. Jeśli powołasz kogoś do życia, musisz oddać własne, wyspa nie jest nieskończona. Ale jak zachować celibat, to masz dla siebie dużo czasu.

Alberto zszarzał na samą myśl.

– Alberto, wychodzimy? – spytałem ironicznie.

– Jak najszybciej – poparł mnie. – Co mamy zrobić?

Misiek zakłopotał się.

– Tak naprawdę, to nie wiem – wyznał. – Zazwyczaj wyprowadzam was na plażę, czekam, aż zawołacie mnie z powrotem.

– To co mamy robić? – zawyłem.

– Musicie, sami z siebie, chcieć osłonić tę wyspę – wyjaśnił. – Musicie wierzyć, że wyspa ma trwać. Co zbudujecie, jest w zasadzie nieważne.

– Dlaczego "w zasadzie"? – spytał Alberto, osoba wyczulona na słówka.

– To mogę powiedzieć dopiero po tym, jak stworzycie swój wkład w zaporę. – Yeti nadął się tajemniczo.

– Musimy zbudować coś, co odpędzi ludzi – zafilozofował Alberto. – Interesujące.

– Bardzo – jęknąłem. – Choć, zbudujemy fast fooda i zatłoczoną plażę.

Alberto popatrzył na mnie z wyższością.

– No dobra, to nie działa – przyznałem. – Jakieś pomysły, misiek?

– Żeby móc nas ochronić, przede wszystkim musicie poznać samych siebie – odpowiedział włochaty Budda.

– Dlatego wasza podróż trwała tak długo.

– Te wszystkie miesiące pomiędzy tymi człekokształtnymi, tylko po to? – wrzasnąłem wściekły. – To nie było prostszego sposobu?

– Nie – powiedział spokojnie yeti.

– A ci, no, Wędrowcy nie mogli wam, albo nam tego wyjaśnić? – spytałem, korzystając ze spadku fali mojego rozdrażnienia. – Wydają się być dość mądrzy.

– Są – powiedział yeti, nadal spokojnie.

– No to musi istnieć jakiś inny sposób niż to cholerne łożenie!

– Nie.

Ależ on mnie denerwował! Duży i biały emanował chłodnym stoicyzmem, jego charakter przypominał górę, w której mieszkał – wielki, zimny, niedostępny. Mogliśmy go zadziwić, ale to było jedyne nasze miejsce styku. Nasze nerwy, nasze przeżycia, wszystkie chwile nadziei i rozpacz sływały po nim jak potoki w skalnych rynnach. Bywał znakomitą informacją i wsparciem, ale na empatię nie mieliśmy co liczyć.

– Dobra, idziemy – zdecydował Alberto. – Czas budować. Gdzie?

Yeti poprowadził nas tunelami na plażę.

– Tu – powiedział. I poszedł sobie, mądrała futrzany.

* * *

Usiadłem zrozpaczony, chwyciłem się za głowę i zajęczałem.

– Stworzyć jakąś pieczęć...

– Nie marudź – warknął Alberto – Jojczysz i jojczysz, a patrz, jak już daleko jesteśmy. Wystarczy pomyśleć, na pewno się uda.

Nie przekonał mnie. Byłem bez pomysłu i bez siły, nie widziałem przed nami żadnej drogi. Jęczałem dalej.

– Jak budować? Tu same drzewa są! – płakałem niemalże. – I piasek! Co, zamki mam stawiać?

Alberto nie popatrzył na mnie z pogardą, nie wyzwiał mnie nawet (a to akurat robił często i słusznie) od histeryka i panikarza. Usiadł obok mnie i zaczął mnie pocieszać. Złe samopoczucie natychmiast mi przeszło – wyzwiska mogę znieść, no ale nie pozwolę przecież, żeby ten leń się nade mną litował!

– Idziemy – zakomenderowałem z pasją. – Zaczniemy sypać fundamenty.

– Je się wylewa – zaproponował Alberto delikatnie.

– Nie marudź. Piasku nie da się łąć. – odparłem. – Usypimy, a potem możemy je polać wodą.

Oczy Alberta rozszerzyły się ze zgrozy, widocznie walnąłem jakąś gafę. No co, nie jestem budowniczym, mam prawo nie wiedzieć. A musiałem działać, być w ruchu, zrobić coś, nawet jeżeli nie miało to sensu.

– Zbudujemy rurę – zaproponowałem.

Alberto zrobił minę.

– Oj nie w wymiarach naturalnych, miniaturkę taką – zniecierpliwilem się. – Kilkudziesięciu kilometrów nie damy rady usypać.

– A dlaczego akurat rurę? – spytał.

– Bo to takie optymistyczne – oznajmiłem. – Zrobimy model naszej drogi do gwiazd, żeby ta włochata małpa nie mogła mówić, że my tylko mordujemy i wyganiamy.

Alberto zadumał się.

– To ma sens – stwierdził. – Rury by żaden z lokatorów wyspy nie zbudował, ani nie zrozumiał. Widzę tylko jeden problem... – zawiesił głos.

– Ty wiesz chociaż jak ona wygląda? – zmiażdżył mnie.

– Rura to rura – zająknąłem się, zdumiony pytaniem

Alberto westchnął ciężko.

– Ty jej nie widziałeś – stwierdził. – Przecież tam musi być dojazd nie?

– No... tak – odparłem niepewnie.

– I energię, ciepło, żeby nadmuchiwać, też muszą mieć – kontynuował bezlitośnie.

– To co, elektrownie też mamy zbudować? – spytałem przerażony perspektywą długiej i ciężkiej pracy fizycznej.

– I zamrażalnie. I oczyszczalnie. I lotniska. I balony. I te dziwadła, płatowce, co odbierają ładunki ze szczytu, też – pogiębił mnie.

– E, nie przesadzaj – wymigiwałem się. – Aż tak dokładnie to nie musimy.

– Jak odstawimy chałę – wycedził Alberto – to stąd nie wyjedziemy .

Przekonał mnie całkowicie. Poszliśmy więc zobaczyć, z czego możemy budować. Alberto optował za drzewami, ja postanowiłem pobawić się piaskiem.

Obaj mieliśmy dobry pomysł. Piasek w moich dłoniach był sypki, ale po polaniu wodą z morza, zamieniał się w gliniastą masę, która, po wyschnięciu była twarda jak skała. A jemu udawało się dłonią rzeźbić w drewnie, mógł wycinać najdelikatniejsze fragmenty jednym, dobrze wymierzonym, ruchem palca.

I taki podział funkcji pozostał – ja kleiłem i murowałem zgodnie z poleceniami, jakie mi mój przyjaciel podawał, a on ozdabiał moje masywne bryły setkami detali, nadawał całej konstrukcji życie. Rura rosła. Bawiliśmy się znakomicie: eksperymentowaliśmy z różnymi sposobami formowania naszych surowców, z różnymi typami konstrukcji, dodawaliśmy do rury różne bezsensowne acz gustowne detale (Alberto potem je wszystkie niszczył), krótko mówiąc – mieliśmy radochę niczym dwóch pięciolatek, którym, zamiast kolejką, pozwolono się bawić prawdziwymi pociągami.

Tylko dlaczego on nie mógł kształtować piasku a ja rzeźbić drewna?

* * *

Dołożyliśmy ostatni, jak nam się zdawało, detal.

Rzeczywiście był ostatni. Wyspa przyjęła naszą rzeźbę, wzmocniła ją i wpasowała w siebie, nadała jej realną wielkość i po kilkunastu sekundach parę kilometrów od nas stał gigantyczny kompleks wysyłania ludzi na orbitę okołoziemską balonami.

– Puta madre! – stęknął Alberto.

– Stoi – jęknąłem, pełen zmęczenia i radości. – Mamy to z głowy. Choć, zobaczymy, co powie nasz mistrz ceremonii.

Kudłacz popatrzył, pofilozofował, wymamrotał parę słów w gęste futro na twarzy.

– I co to jest? – spytał.

– Największa budowla na świecie, zacofana małą z interioru – wyjaśniłem. – Nasz pomost do gwiazd.

– Tam też was niesie? – Yeti parsknął. – Cholery nie ma na tą waszą miłość do szwendania się. A lećcie sobie, może będziemy mieć spokój. Dobra, wygląda na to, że się udało. Nie wiem, pomyślę, czemu akurat takie dziwo miało wzmocnić pieczęcie na wyspie. Możecie już iść, wasza łódka stoi za wami.

Faktycznie, była na miejscu. Ruszyliśmy galopem, niczym dwa źrebaki wypuszczone ze stajni. Ostatnie słowa człowieka śniegu dobiegały już w strzępkach:

– Blokady nie działają tylko na wyspie! Ona... modyfikuje... zewnątrz! – słyszeliśmy coraz gorzej. Plaża, ponton, komórka, żarcie, silnik i won. Nie było pomostu, nie było krzyży i byliśmy z tego powodu szczęśliwi, niczym świeżo obudzeni ze złego snu. Nasz świat. Wreszcie nasz paskudny, mechaniczny i spaczony świat.

* * *

Kapitan przypłynął na wezwanie komórki. Był jeszcze mniej sympatyczny niż poprzednio, nie mówił do nas wcale, nie patrzył na nas, traktował nas jak ryby, które spędziły za dużo czasu na plaży w słońcu.

Na przystani byliśmy witani równie paskudnymi spojrzeniami. Nasz widok budził w tubylcach najgorsze instynkty. Zaczęli pluć nam pod nogi, oplugawiać wrzaskliwie w swym rodzimym języku, a grupa wyrostków zaczęła w nas rzucać czymś dobrze zaściardłym. Zamiast do hotelu pognaliśmy natychmiast na miejscowy posterunek policji, gdzie rezydował jedyny, acz wielofunkcyjny urzędnik.

Wpadliśmy zziębnięci i bladzi. Myśleliśmy, że na wyspie Hancocka było źle, ale nie ma to jak powrót w gościnne ramiona własnego gatunku.

– Co tu się dzieje?

Urzędnik podniósł głowę znad stosu papierów.

– Nic nie wiecie? Skąd wy się wzięliście?

– Byliśmy na długich wczasach – wyjaśniłem. – Kontakt z naturą, brak radia, wie pan.

– Postawili pierwszą rurę – oświecił mnie ponuro. – Nawet zaczęli już wysyłać emigrantów.

– To chyba fajnie? – poszukałem wyjaśnienia posępnej miny rozmówcy. – Kto się zgłosił na ochotnika?

– Nikt – odpowiedział posągowy Melanezyjczyk. – Przylecieli do Afryki, wyłapali dwie strony pierwszego z brzegu konfliktu, wyszorowali ich od wewnątrz i na zewnątrz, zapakowali i wysłali do góry, żeby krążyli dookoła Księżyca w lodowych trumnach.

– Kto to zrobił? – spytałem zaszokowany.

– Obywatelska Straż Emigracyjna. Powołana przez Północ dla dobra ludzkości, ma postawić schody, po których pójdziemy do nieba. Dwuznaczne to hasło – mruknął nasz rozmówca. – Zbiry i bandyci, jeśli mnie pytacie, ale slogany mają szczytne. Nawet noszą na mundurach plaketkę z tym piekielnym urządzeniem – dodał, pieczętując nasze dokumenty.

Popatrzyłem na Alberto.

– Największy symbol ludzkiego geniuszu i woli? – podniosłem pytająco brwi, patrząc na mojego przyjaciela.

– Albo tajna baza oficjalnych porywaczy – dokończył. – Będą stamtąd spieprzać, aż piana będzie pryskać.

Urzędnik popatrzył na nas pytająco.

– Długo by tłumaczyć – machnąłem ręką, patrząc na niego uspokajająco. – Słońce, plaża i przygody, wie pan.

– Wiem. Ale więcej przygód nie będzie – skonkludował, podając nam paszporty. – Pakować się w najbliższy samolot, i nie planować tu więcej urlopu. Wasze pochodzenie i kolor skóry są coraz mniej popularne. Żegnam oziębłe.

Nie wiem, może powinniśmy byli zrobić coś innego.